

# Dekada Literacka

Kraków ■ 16 II — 29 II 1992 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 4 (40) ■ Cena 2000 zł

- Wyka o nowej książce Konwickiego ● Rekomendacje: nowy Marquez ●
- „Bestiario” Javiera Tomeo ● Walas o korespondencji Mertona z Miłoszem ●
- Maciąg o rozmowie Szewca ze Strykowskiem ●

## SZKIC Z PODRÓŻY DO EUROPY

Leszek Szaruga

1.

W szkołach się uczymy, że naszą kolebką jest basen kultury śródziemnomorskiej. W tych samych szkołach uczymy się jednak, że przywlekliśmy się na ziemię, na których mieszkamy, z głębi Azji, wraz z wędrowną ludźmi. Sprzeczności w tym nie ma: nauczyliśmy się kochać to, co podbiłszy; nauczyliśmy się nienawidzić tego, co zostawiliśmy za sobą. Azja: coś niższego. Jesteśmy Europą.

Niebawem będziemy się uczyć szacunku dla swych prawdziwych korzeni, a będzie to lekcja bardzo kosztowna. Myślę, że będzie to ważna lekcja pokory dla Europy. I nie tylko dla Europy. I myślę, że czas już na taką lekcję. Europejczyk to wcale nie taka znów wspaniała postać. Nie przypadkiem też, komentując tom wierszy Tomasza Jastruna zatytułowany *Na skrzyżowaniu Azji i Europy* pisał Stanisław Barańczak: „Poeta ma prawo do metaforycznego zaciskania pięści; nie ma natomiast prawa do łatwych uproszczeń. A takim fundamentalnym uproszczeniem wydaje mi się właśnie — przy całym uznaniu, jakie żywię dla Tomasza Jastruna — jego wizja zła, które przychodzi z zewnątrz, spoza «nas», spoza granic ludzkiego świata; wizja owej «Azji», reprezentującej zbydlęcone zdżyczenie «ich», i «Europy» symbolizującej «nasze» ludzkie wartości”.

Nauczmy się zapewne wielu innych rzeczy. Stoimy, jak się zdaje, przed bardzo głębokim przeobrażeniem naszej mentalności, naszego sposobu myślenia i życia. Stoimy przed koniecznością przezwyciężenia sprzeczności między deklaracjami mówiącymi o wierności wartościom humanistycznym a praktyką, która tym deklaracjom jawnie zaprzecza. Na naszych oczach dokonują się już pewne przeobrażenia, których sensu zapewne do końca nie jesteśmy w stanie pochwycić, a tym samym zrozumieć. Jak są głębokie, o tym trudno dziś wyrokować, jednakże nie ulega wątpliwości, że właśnie się dokonują i że wiek XX z jego straszliwymi wprost doświadczeniami okaże się dla tych przeobrażeń czasem zwrotnym.

Można przypuszczać, że to, co nazywamy kulturą europejską, zaczęło się na dobre załamywać w okresie Rewolucji Francuskiej, gdy powstawać zaczęły społeczeństwa masowe.

Europa przekroczyła jakiś punkt krytyczny, zarazem, nie zdając sobie z tego sprawy, utraciła formę nie umiejąc

po dziś dzień odnaleźć nowej. Wszystko, co obserwujemy w ciągu ostatnich dwustu lat, to jakaś niesłychana szamotanina, w której w dodatku środki, głównie techniczne, które wypracowaliśmy, postawiły nas w sytuacji ucznia czarnoksiężnika: wiemy, że trzeba wypowiedzieć jakąś formułę, która nam pozwoli panować nad samymi sobą, jednakże ta właśnie formuła wciąż pozostaje poza zasięgiem naszej wiedzy. Jedno wszakże już do nas dociera: w tym właśnie okresie nastąpił ostateczny rozbrat między egzystencją i trans-

wyzwoli go też od twardego przymusu pracy. Ale odcyfrowany będzie najgłębszy sekret mas pracujących, bardziej niż kiedykolwiek żywych, chłonnych i pełnych wewnętrznej udręki (O.W.M.). Człowiek nie będzie wystawiony tak jak dzisiaj na zgiełk słów i obrazów, które wszystkie mają na celu zmusić go do myślenia w kategoriach ilościowych i do oglądania innych, także siebie, niby przez odwróconą lunetę (przez co we własnych oczach małe niemal do zera). Niektóre odkrycia zrobione dawno, ale albo zapomniane,

Co interesujące, na moment przełomu wskazują obserwatorzy z zewnątrz. Tak właśnie czyni Octavio Paz w szkicu *Rzucił okiem na Stary Świat*, gdy wskazuje, iż niepokoję społeczne z lat 60. wstrząsnęły kulturą i życiem Zachodu. Pisze Meksykanin: „Wbrew temu, co wróżył marksizm, ani nie był to kryzys gospodarczy, ani też nie proletariatus odgrywał w nim główną rolę. Był to kryzys polityczny, a bardziej niż polityczny — moralny i duchowy; jego bohaterami nie byli robotnicy, lecz grupa uprzywilejowana: studenci”. Ważna wydaje się jeszcze jedna konstatacja cytowanego szkicu: „W protestach, deklaracjach i manifestacjach buntowniczych nie pojawiły się idee i koncepcje, których nie znaleźlibyśmy już u filozofów i poetów ostatnich pokoleń. Nowatorstwo tego buntu nie było typu intelektualnego, lecz moralnego; młodzi nie odkryli nowych idei; wypowiedzieli; a pasją te, które odziedziczyli. W latach 70. bunt wygasł i krytyka zamilkła. Wyjątek stanowi feminizm. Ten ruch rozpoczął się jednak dużo wcześniej i będzie trwał jeszcze przez wiele dziesiątków lat. Ten proces czeka żywość znacznie dłuższą, chociaż jego impet w ostatnich latach nieco osłabł, mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, którego przeznaczeniem jest trwać i zmieniać historię”.

Ostatnia uwaga godna jest, jak sądzę, głębszego namysłu i refleksji i nie jest chyba przypadkiem, że wyszła spod pióra autora niezwykle mądrych esejów i esejów. Jednakże wydaje się, że

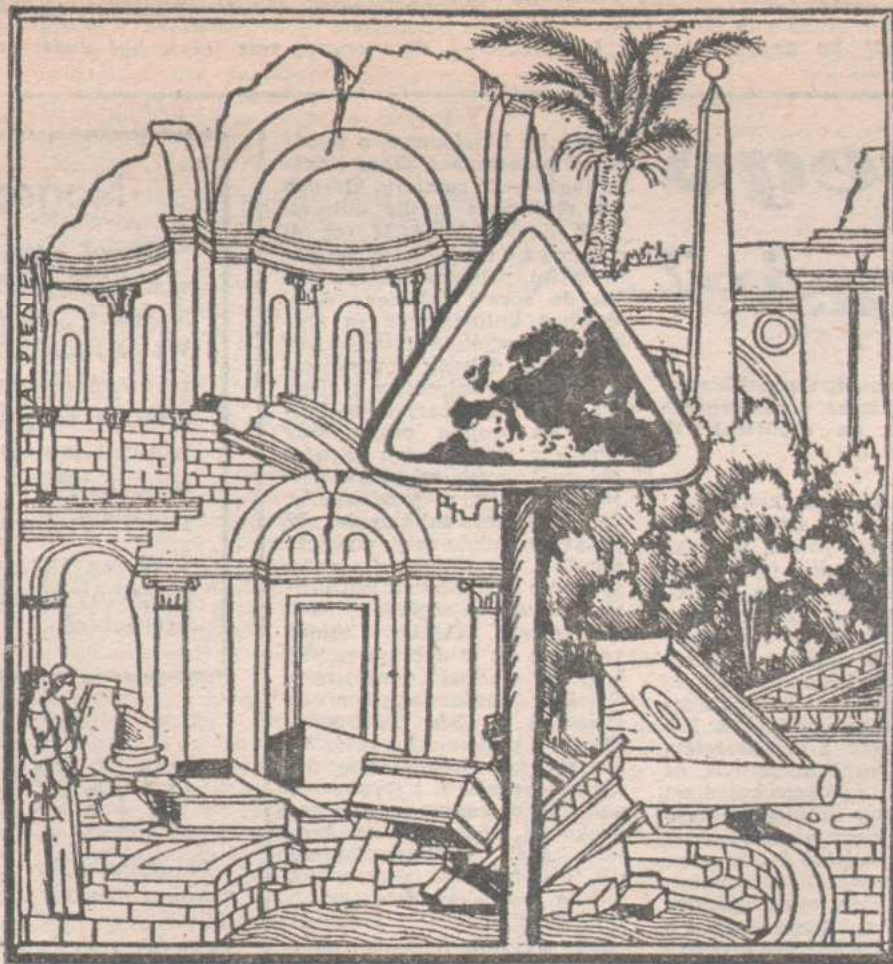
Paz, z oddalenia jednak widzący przemiany europejskie, nie docenia dwóch jeszcze zjawisk, które wyrosły z buntu lat 60., a które w latach 70. nie tylko nie wygasły, lecz rozwinęły się w ruchy znaczące: pierwszym jest ruch ekologiczny, drugim zaś — rozwój zwycięstwo opozycji w krajach komunistycznych.

2.

Czym są dziś ta cała Europa i europejskość, o których bez przerwy się mówi? Myślę, że istnieje w naszej kulturze coś, co nazwać by można „szan-

CD. NA STR. 10)

W jednym z najbliższych numerów „Dekady”: nie publikowany dotąd w języku polskim esej LESZKA KOŁAKOWSKIEGO „Pochwała wygnania”.



RYŚ. ALEKSANDER PIENIEK

condencją w naszym życiu, oświecenie odłączyło nas od objawienia. Jak i czy dojdziemy do zalecenia tego pęknięcia, nie sposób dziś przewidzieć, wydaje się jednak, że w tym właśnie kierunku obecnie się poruszamy i bez wątpienia ma rację Czesław Miłosz, gdy pisze w zakończeniu *Ziemi Ulro*: „Żeby było nie najzupełniej dobrze, ale trochę lepiej: moja cywilizacja odnowiona nie uchroni człowieka od cierpienia i osobistych tragedii, od chorób i śmierci, nie

albo odsunięte poza zakres praktyki, będą powszechnie przyjętą wiedzą: że niewola poczyna się nie tam, gdzie jej przyczyn szukał wiek dwudziesty, że kłamstwo jako zasada międzyludzkich obcowania ma głębsze korzenie niż tylko strach i żądza władzy; że rewolta ludzi przeciwko warunkom życia uznanym przez nich za nieludzkie kryła w sobie dążenia, które tylko z pozoru otrzymały nazwę w hasłach dyktatorów i demagogicznych trybunów”.

# Niezupelnie zapieczetowany list do Prezydenckiego Triumwiratu w Stot. Król. Mieście Krakowie

Tadeusz Chrzanowski

**W**ielce Miłościot Panowie Prezydenci!

Onegdaj jeden z Waszego Triumwiratu wystosował (m. in. do niżej podpisanego) pismo, zawierające pytanie, czym jest Kraków i jaką rolę powinien pełnić w nadchodzących czasach schyłku drugiego milenium? Można by odpowiedzieć najprościej: „Rola ta doniosła ma być”, ale sędzę, że odpowiedź taka, choć oczywista, Miłościwego Triumwiratu nie zadowoli; ponadto oczywistość przestała być w stot. król. mieście towarem poszukiwanym, ponieważ stot. król. miasto od swego czubka, to znaczy: od bukietu rajców, bardziej przedmieście czy wręcz przysiółek przypomina niżli miasto (vide chociażby rajcowski protest przeciwko zakładaniu w Krakowie muzeum sztuki i kultury japońskiej).

Więc całkiem już serio, choć w tonacji chwilami ironicznej, kilka refleksji. Kraków był w dawnych wiekach stolicą, o czym każdy krakus wie i co nieustannie podkreśla. Ale być nią przestał i tylko ów królewsko-stoleczny czad wloczył się pośród owej krakowskiej mgły, z której raz po raz wylania się jakieś pijane dziecko. Więc potrzeba psychicznej kompensaty zarówno u krakusów jak i Krakauerów tym mocniej daje znać o sobie, im dalszy jest Kraków od rzeczonyj królewskości. I przy takim psychicznym gnioście łatwo było co deklamować lub deklarować, zamiast cokolwiek czynić, by z owej mgły wychynąć.

Krakowska mgła (smog lub czad) bierze początek w czasach saskich, w tym dennym okresie upadku, kiedy Kraków wyglądał jakby wyjęty ze strof Krasińskiego: „...dram cztery ulomki, klasztorów dziewięć (a naprawdę to znacznie więcej) i gźieniegdzie domki”. Potem mozolnie dźwiganie się, jakieś Komisje Dobrego Porządku, jakieś odnowy dychawicznej Akademii i kilku budowl (ale po prawdzie więcej burzenia było niż odbudowy). Wreszcie Wolne

Miasto, wolne w wielkim cudzysłowie i po nieco parodyjnym powstaniu, kresowe miasteczko monarchii Kakanii i jeszcze twierdza im. Janusza Bogdanowskiego, więc w gruncie rzeczy spory garnizon, przy którym nadal funkcjonowały gźieniegdzie domki. Kraków dał się wówczas dalece zdystansować przez Lubów, mianowany stolicą Galicji (i Głodomierii). Pozostały tu tylko narodowe misteria: wielkie pogrzeby, pomniki, groby, Króle Duchy, Wesela i Stańczyki, a więc smogi i czady. Niemniej jedno było w tym zacządzeniu doniosłe: miasto stało się narodową oazą z łaski (wymuszonej) liberalnego (z konieczności) Franza Josepha. I okres międzywojenny niewiele tu zmienił: nawet tutejsza awangarda była tylko pikliwym echem wielkich centrów kultury europejskiej.

Za PRL zrealizowano jeden z najgłupszych pomysłów utopijnych: na najżyźniejszych obszarach podmiejskich zbudowano Nową Hutę (tylko pytanie za 10 punktów: kiedy ona była naprawdę nowa?). Chodziło o stworzenie fortecy robotniczej wymierzonej przeciwko „Malemu Rzymowi”. Dzieje wszelako platają psikusy: to Nowa Huta, gdy sam Kraków drzemał dostojnie, walcie przyczyniła się do obalenia komunij. A teraz na odmianę stara się obalić demokrację i przy pomocy manifestacyjnego głodomorstwa ocalić dalsze na zetrwanie, to znaczy utrzymanie produkcji surowcowej!

A więc zaściankowość, przysiółkowość i „sny o potędze” pozostały tu pod Wawelem i trwają. Tyle tylko, że owe czady i trucielecko-hutnicze smrody ciągną się już nie tylko od Barbakanu po Wawel, ale od Bronowij po Hute im. Sendzimira i od Parku Ojcowskiego po Wieliczkę. Przez to poszerzenie obszaru czadu Kraków nie stał się ani o jotę bardziej światowy, a nawet europejski. Bo cóż z tego, że przyjeżdżają tu liczni zagraniczni turyści? Do San Gimignano też przyjeżd-

żają, a miastina przez to miastiną dyć nie przestała.

Przedostojny Triumwiracie! Europejskość to nie deklaracje, mity i czady. Europejskość to zaprzeczenie zapyzłości, prowincjonalizmu, zaściankowo-przysiółkowości. Jeśli nie będzie czynów, wszystko pozostanie wedle dawnego porządku (a raczej nieporządku). A czynu to my — ludzie dobrej woli. A więc ludzie myślący i gotowi podejmować wysiłki „na rzecz”. Czego? No właśnie: europeizacji, uświatowienia. Bo sam fakt wpisania Krakowa na listę światowego dziedzictwa UNESCO nie jeszcze nie znaczy. To dziedzictwo należy kultywować, rozwijać. A na razie co mamy w tym względzie? Docenta Purchlę i dowodzone przezń Centrum, które ma tabliczkę i lokal, tylko nie ma środków i docent (w którego zresztą wierzę i na którego liczę) miota się i spala na oltarzu krakowskiej ojczyzny, skąd jednak tylko więcej czadu w atmosferze.

Chciałbym tedy zatrzymać się na przykładzie dezeuropeizacji Krakowa. Otóż nasz krajowy komitet ICOMOS (międzynarodowa organizacja konserwatorska) „zadziałał” i nie bez trudu (bo wiele krajów i miast miało na to zakusy) uzyskał placet na utworzenie w naszym mieście „Międzynarodowego Centrum Dokształcania Konserwatorskiego”. I wszystko szło pomyślnie. Dla owego centrum przeznaczono dwie kamienice przy ul. Kanoniczej, aż tu nagle okazało się, że jedna (i to na złość ta trochę większa) ma właściciela, ten zaś chce ją sprzedać i ma nawet zagranicznego amatora na otw transakcję. Miasto ma prawo pierwokupu, ale cóż — zaciśnięto mieszek (Francuzi określają to niezbyt elegancko: „pressez les jesses”).

Minister kultury i sztuki, który też nie ma forsij, zobowiązał się i piśmem opatrzonym ministerialno-hrabiowskim podpisem potwierdził, że zobowiązuje się pierwszą ratę (mają być dwie: po

2 miliardy każda) zrefundować w 1992 r. z pieniędzy przeznaczonych na konserwację zabytków Krakowa. Ale krakowska kiesza została nadal zawiązana na kilka supełków. I tak może nam mignąć koło nosa jedyna w swoim rodzaju okazja.

Proszę bowiem pomyśleć przez chwilę: możemy mieć w Krakowie szkołę o międzynarodowym znaczeniu, do której ściągają będą kandydaci na adeptów tego kunsztu, co się coraz większym popytem cieszy w krajach całego świata. Studenci, placąc za studia, będą wcale niewąski strumyczek dewiz wpuszczać w mury podwawelskiego grodu. Stąd i zarobek niezły, i sława. Mamy bowiem doskonałe możliwości: po pierwsze dysponujemy fachowcami dzięki wysoko stojącemu Wydziałowi Konserwacji przy Akademii Sztuk Pięknych, a także ponieważ Kraków ma bogate zaplecze specjalistów z zakresu historii sztuki (UJ) i architektury (PK) Mamy wreszcie sporo własnych doświadczeń i sporo działających już w mieście konserwatorów, a nawet całe przedsiębiorstwa z „moimi” niegdyś PKZ. No, a przede wszystkim mamy wyborny poligon praktyczny: tyle zabytków i takie nawiązania historyczne zaiste w niewielu da się odnaleźć miastach i praktyki na „żywych” obiektach na długo tu nie zabraknie. A więc mamy kilka podstawowych elementów: należałoby tylko (oczywiście z dzieciinną radością) pociągnąć za sznurek. A to się w mowie schyłku XX wieku nazywa: zainwestować. Zaciśkanie mieszka (i półgęsków) niczego nie przyniesie, poza dalszym utwierdzeniem się w dziedzicznym centusiosocie i prowincjonalizmie. A przecież marzymy o Krakowie nie tyle dużym co wielkim, a to znaczy europejskim i światowym, a nie galicyjsko-polsko-południowym.

To tyle na dziś Prześwieatny Triumwiracie i do siego roku!

## Co nowego w prasie?

Stanisław Rodziński należy do artystów, których twórczość była najgłębiej ideowo zaangażowana w czasie stanu wojennego. Zaden dzisiejszy hurratriota nie może mu też zarzucić sympatii dla mecenatu PRL lub niedoceniania wolności. Znajomość długoletniej publicystyki Rodzińskiego każe wykluczyć podejrzenie autora o uleganie modom lub wpływom. Dlatego w kontekście licznych lamentów nad sytuacją kultury w III Rzeczypospolitej wypowiedź tego artysty, krytyka i pedagog ma znaczenie szczególne.

Jest to wypowiedź dramatyczna i nie darmo nosi tytuł „Głos wołającego na puszczy” (TYGODNIK POWSZECHNY nr 5). Rodziński pisze: Urynkowanie czy też ogromna przemiana ustrojowa, jaką przeżywamy — dotknęła w sposób szczególnie bolesny i dramatyczny środowisko plastyczne. Właściciele kamienic z pasją przypominającą powieści Dickensa usuwali z pracowni malarzy wraz z dobytkiem. Spółdzielnie mieszkani-

we postanowiły wszystkie swoje ekonomiczne niedobory odbić sobie na czynszach za pracownię. (...)

Rozwijając listę kłopotów i niedostatków, odczuwanych ostatnio przez polską plastykę i jej środowisko (zalamanie się krajowego rynku sztuki, brak pisma o sztuce, brak ogólnie dostępnych reprodukcji dzieł ze zbiorów polskich muzeów), Rodziński nie boi się przeciwstawić fanatycznym tępiciełom wszelkich śladów „komuny”: Wraz z komunizmem pożegnaliśmy ohocho coś, co nazwano upowszechnieniem sztuki. Domy kultury zajmują się dziś kursami gotowania albo medytacji (...). A gdzie malujący amator? Gdzie spotkanie z malarzem czy grafikiem, gdzie jakiś cykliczny wykład o sztuce? (...) Od czasu do czasu słyszemy wołanie o likwidację Ministerstwa Kultury. Jeszcze nie czas na to. Czas raczej na społeczny rachunek sumienia. W tym rachunku jest miejsce na przemysłaną ochronę wartości i ludzi, instytucji i inicjatyw (...) Bolszewickie cią-

gotki, by likwidować, a w zamian pozostawiać chaos i bezradność — to zamiary, których nie wytrzyma polska kultura.

W SPOTKANIACH (nr 4) rozmowa z dr. Wojciechem Kowalskim, pełnomocnikiem rządu do spraw polskiego dziedzictwa kulturalnego za granicą. Szczególnie interesujący fragment dotyczy rewidkacji polskich zabytków z ziem, do r. 1939 należących do Polski. Po wojnie pragnęliśmy wywieźć stamtąd jak najwięcej ruchomych zabytków polskiej kultury, w przekonaniu, że grozi im zniszczenie. W praktyce udało się wywieźć niewiele. Dr Kowalski uważa, że nasze dziedzictwo kulturowe nie uległo zagładzie, choć nie zawsze zabytki i zbiory znajdują się w dobrym stanie. (...) Nie można tamtejszych Polaków pozbawiać tego, co świadczy o ich tożsamości. Skoro wysyłamy im książki, nie możemy jednocześnie zabierać obrazów (...) Gdybyśmy wywieźli dowody naszej wielowiekowej obecności na kresach, sami sfalszowalibyśmy ich historię. Nie wykluczam jednak rozmów, dotyczących przekazania Polsce szczególnych, wybranych dzieł i dóbr kultury.

Opinia pełnomocnika o obecnych możliwościach dostępu do poloników u naszych wschodnich sąsiadów jest bardzo pozytywna: Na przykład na Ukrainie mamy praktycznie nieograniczony dostęp do magazynów muzealnych, bibliotek i zbiorów. Można tam pracować naukowo, fotografować. A jeszcze niedawno mówiono, że danych dzieł czy obrazów nie ma, ukrywano je.

## Nagroda „Odry” 1991

Zespół miesięcznika „Odra” na posiedzeniu w dniu 13 grudnia 1991 roku postanowił przyznać Nagrodę „Odry” za rok 1991 WŁODZIMIERZOWI ODOJEWSKIEMU za twórczość prozatorską ze szczególnym uwzględnieniem przywróconych ostatnio krajowemu obiegowi czytelniczemu powieści i tomów opowiadań, m. in. „Zasypie wszystko, zawieje...”, „Zabezpieczanie śladów”, „Zapomniane, nieuśmierzone”.

W najbliższym numerze „Dekady” drukować będziemy tekst W. Odojewskiego o języku prasy literackiej.

## VARIA

30 stycznia br. odbył się wernisaż drugiej, po Sztokholmie, edycji wystawy „JAN FEJKIEL GALLERY COLLECTION” w galerii przy ul. Floriańskiej 36. Właściciel galerii i autor ekspozycji pisze w przygotowanym przez siebie folderze:

„Kolekcja grafiki, którą mam zaszczyt przedstawić w Instytucie Polskim w Sztokholmie, pochodzi z galerii, która jako jedyna w Krakowie i należąca do niewielu w Polsce specja-

licuje się w promocji grafiki i rysunku.

Wystawa jest prezentacją artystów zaliczanych już do klasyki sztuki polskiej: Janiny Kraupe, Zbigniewa Lutomskiego, Ryszarda Otręby, Jerzego Panka, Andrzeja Piet-scha, a także pokolenia młodszych i zupełnie młodych artystów: Zbigniewa Biela, Andrzeja Bębenka, Henryka Ożoga, Anny Sobol-Wejmana, Jacka Sroki, Marcina Surzyckiego, Stanisława Wejmana.

Zetknięcie różnych generacji twórców krakowskich przekonuje o kontynuacji przez młode pokolenie tradycji mistrzów, ale także o jej twórczym przekształcaniu”. (kl)



## rekomendacje

Pod hasłem REKOMENDACJE przedstawiamy książki nie tłumaczone na język polski, a wysoko cenione lub szczególnie popularne w kraju swego powstania, bądź zyskujące światowy rozgłos.

GABRIEL GARCIA MARQUEZ: *El amor en los tiempos del colera*, Casa de las Americas, La Habana 1986.

Gabriel Garcia Marquez znany jest u nas głównie jako autor *Stu lat samotności*; mniejszą poczytnością cieszyły się jego inne powieści: *Zła godzina*, *Jesień patriarchy*, *Nikt nie pisze do pulkownika*, a wydane ponownie przez PIW w tym roku opowiadanie *Kronika zapowiedzianej śmierci* zalega księgarskie półki. Wszystkiemu winien, jak sądzę, brak odpowiedniej reklamy. Nazwisko Marqueza już prawie nie mówi dzisiejszym polskim dwudziestolatkom, którzy w okresie boomeru literatury latynoamerykańskiej właśnie przychodzili na świat. A szkoda, bo jest to pisarz żywy, czytany, z pasją i ogromnym talentem przenoszący fascynację rzeczywistością Ameryki Południowej do swojej twórczości. Jest to więc twórczość zaangażowana — czemu nie użyć tego słowa? — podobnie zresztą jak i innych wielkich Latynosów: Mario Vargas Llosy, Augusto Roa Bastosa, Octavio Paza, uczestniczących aktywnie w życiu swojego kontynentu i bliskich pod tym względem wielu pisarzom z tej części Europy.

*Miłość w czasach cholery* rozgrywa się w Kolumbii, a konkretnie w tej części tego kraju przynależnej do szczególnego, rządzącego się wspólnymi prawami, choć różnorodnego politycznie regionu, zwanego Karaibami. Rzecz dzieje się na przełomie XIX i XX stulecia, kiedy to cywilizowany świat ekscytuje się kolejnymi odkryciami i wynalazkami, Kolumbię zaś wyniszczają nie kończąca się wojna domowa pomiędzy liberałami a konserwatystami i ciągle powracające epidemie cholery. Marquez czyni ze swego narratora kronikarza, opowiadającego historię z właściwą wszystkim kronikarzom skrętnością i brakiem dystansu. I tak, na przykład dowiadujemy się od niego szczegółów na temat dawnych sposobów filtrowania wody pitnej oraz zapoznujemy się z obiegową opinią, wedle której spożywanie jej powodowało przepuklinę, „którą tyłu mężczyzna w mieście nosiło nie tylko że bez żadnego wstydu, ale wręcz z pewną patriotyczną ostentacją”.

Ale tematem głównym powieści jest, jak wskazuje tytuł, historia pewnej miłości. Miłości wielkiej — jakże by inaczej! — która choć zrodzona z przypadkowego spojrzenia, okazała się wieczna. Na trwającym ponad pół wieku oczekiwaniu upływa życie Florentina Ariza. Odrzucony przez Ferminę Daza we wczesnej młodości, nie poddaje się: pnie się po szczeblach kariery zawodowej i społecznej od gońca pocztowego i telegrafisty aż do zarządcy potężnego Karaibskiego Towarzystwa Żegluga Rzecznej. W związkach z wciąż nowymi kobietami, w niezliczonych miłościach swojego życia „samotnego łowcy” przeżywa nieustannie pierwszą i jedyną miłość. Nigdy z niej nie zrezygnuje: „W tym samym dniu, w którym Florentino Ariza zobaczył Ferminę Daza w przedsiwniku katedry, w szóstym miesiącu ciąży, swobodną w nowej roli kobiety światowej, powziął niezłomną decyzję zdobycia sławy i pieniędzy, żeby jej dorównać. Nie brał pod uwagę kłopotliwego faktu, że przecież jest mężatka, ponieważ zdecydował jednocześnie, jakby to zależało od niego, że doktor Juvenal Urbino musi umrzeć. Nie wiedział ani jak, ani kiedy, mimo to uznał tę śmierć za nieunikloną i postanowił na nią czekać bez zniecierpliwienia i emocji, chociażby do końca wie-

Ona zaś piękna i dumna Fermina Daza, o niewiadomym pochodzeniu, córka kupca a może przemysłowca (?), poślubiła doktora Urbino, potomka jednego z najstarszych rodów w mieście, nieprzeciętną osobowość, znamienitego obywatela, pięknego mężczyznę. Ich małżeństwo uchodzi za niezwykle udane. A jednak miłość osiąga dopiero w ślad za innymi uczuciami, wraz z przyzwyczajeniem i starością. W chwili śmierci doktor Urbino mówi do żony: „Bóg jeden wie, jak bardzo cię kochałem” i jest to wyznanie, którego nie poczynił wobec niej nigdy przedtem.

Historia znajduje swe naturalne zakończenie po śmierci doktora Urbino, w momencie gdy Florentino Ariza przybywa do żałobnego domu, by ponownie wyznać Ferminie Daza swą niezmienną miłość. Siedemdziesięcioletni kochankowie łączą się na statku, który z powodu epidemii cholery, naznaczony złowróżbną żółtą flagą, żegluję bez końca po rzece Magdalena i nigdy już nie zawinie do żadnego portu: „Kapitan spojrział na Ferminę Daza i dostrzegł na jej powiekach błyski zimowego szronu. Potem popatrzył na Florentina Ariza, na jego nieugięte oparcie, na miłość bez lęku, i przeraziło go niewczesne przypuszczenie, że to nie śmierć, ale życie nie ma granic.

— Jak pan myśli, jak długo może potrwać ta nasza cholerna podróż? — zapytał go. Florentino Ariza znał odpowiedź od pięćdziesięciu trzech lat, siedmiu miesięcy i jedenastu dni wraz z nocami.

— Całe życie — powiedział”.

To tylko szkice opowieści, na pierwszy rzut oka banalne, ale nie sposób przedstawić w krótkim szkicu całego bogactwa i oryginalności treści osnutej na tej kanwie. Czas powieściowy jest tu krótki i przebiega na przestrzeni kilku miesięcy, od dnia śmierci doktora Urbino w pierwszym rozdziale do połączenia się i wspólnej podróży Ferminy Daza i Florentina Ariza w rozdziale ostatnim. W tych ramach zostały zawarte wcześniejsze losy bohaterów, umieszczone na tle życia miasta, odmalowanego, jak już wspomniałam, z kronikarską dokładnością i właściwą dobrym gawędziarzom dbałością o zrelacjonowanie jak największej ilości wydarzeń, o wprowadzenie wielu postaci, przypisanie wszystkiego ciekawostką czy plotką. Od czasu do czasu kronikarz, przypominając sobie o swym dydaktycznym posłannictwie, sięga do miejskich annałów i przytacza jakieś zapisane w nich wydarzenia szczególnej wagi, częściej jednak snuje swą opowieść od wewnątrz, zdradzając własne w nią zaangażowanie. Ale wielotwarzowy narrator Marqueza spełnia jeszcze jedną, trudniejszą od pozostałych rolę, a mianowicie analizuje — i to z jaką znajomością przedmiotu! — uczucia bohaterów powieści. *Miłość w czasach cholery* polecić też można jako kompendium wiedzy o miłości. Miłości rozumianej wielorako, obecnej w życiu ludzi w każdym momencie, czy to pod postacią uczuć, czy też jako fizyczne pożądanie. W obyczajowości południowoamerykańskiej nie oddziela się tak drastycznie jak u nas duchowej i cielesnej strony miłości, dąży się raczej do jak najszybszego ich pogodzenia. Dążenie to przejawia również literatura, traktująca „co ludzkie” z prostotą i bez zahamowań. Mam tu na myśli nie tylko fizjologię seksu, ale wszelką fizjologię. Oto jak definiuje miłość jedna z kochanek Florentina Ariza: „W okresie największego rozkwitu ich związku Florentino Ariza zapytał się, kiedy właściwie pojawia się między nimi miłość: czy w rozgorączkowanym łóżku, czy też raczej w spokoju niedzielnych popołudni, i Sara Noriega uspokoiła go przy pomocy prostego argumentu, że wszystko, co robili nago było miłością. Powiedziała: „Miłość duchowa od pasa w górę i miłość cielesna od pasa w dół”. Nie jest to bynajmniej jedyna, lecz jedna z wielu definicji miłości, jakie można znaleźć w *Miłości w czasach cholery*. Wielec pouczająca to lektura w tej i innych materiach.

Powieść skonstruowana i napisana po mistrzowsku, bądź co bądź przez jednego z największych współczesnych pisarzy, czyta się, czy raczej smakuje od pierwszej do ostatniej strony wybornie. Oby znalazł się czym prędzej tłumacz i wydawnictwo, którzy wprowadzą tę książkę na nasz rynek. Czas nagli, na przetłumaczenie czeka kolejna powieść Marqueza, a on sam, za komputerem, bez którego, jak twierdzi, nie mógłby tworzyć, na pewno pracuje już nad czymś nowym.

Urszula Kropiwicka

# Miłość w czasach cholery

(fragmenty)

Gabriel Garcia Marquez

I

Natomiast Florentino Ariza nie przestał o niej myśleć ani na chwilę odkąd Fermina Daza odrzuciła go nieodwołalnie po długotrwałej i zakazanej miłości, dokładnie pięćdziesiąt jeden lat, dziewięć miesięcy i cztery dni wcześniej. Nie potrzebował prowadzić na wzór więźniów codziennego rachunku zapomnienia, za pomocą żłobionych w ścianie kresek, gdyż nie upłynął ani jeden dzień, w którym jakieś zdarzenie nie przypominałoby mu o niej. W momencie rozstania on miał dwadzieścia dwa lata i zamieszkiwał z matką, Transito Ariza, w wynajmowanej przez nią polowie kamienicy przy ulicy Okiennej, gdzie od wczesnej młodości miała sklep z pasmanterią i dodatkowo zajmowała się darcie starych koszul i szmat, które potem sprzedawała na bandaże dla rannych żołnierzy. Był jej jedynym synem, zrodzonym z przelotnego związku ze znanym armatorem, don Pio Quinto Loayza, najstarszym z trzech braci, założycieli Karaibskiego Towarzystwa Żegluga Rzecznej, którzy zapoczątkowali nową erę w żegludze parowej na rzece Magdalena (...).

Po śmierci ojca Florentino Ariza przestał chodzić do szkoły i podjął pracę jako stażysta w Agencji Pocztowej, gdzie powierzono mu obowiązki otwierania worków i segregowania listów, a także wywieszania na drzwiach biura flagi kraju, z którego pochodziły, w celu powiadomienia czekających pod pocztą ludzi.

Jego rozsądek zwrócił uwagę telegrafisty, niemieckiego emigranta, Lotario Thuguta, który grał na organach katedry przy okazji ważniejszych uroczystości i udzielał lekcji muzyki w domu. Lotario Thugut nauczył go alfabetu Morse'a i obsługiwaną telegrafu, a po kilku lekcjach skrzypiec Florentino Ariza grał już ze słuchu jak zawodowy wirtuoz. Kiedy poznał Ferminę Daza, w wieku lat osiemnastu, był duszą towarzystwa w swoim środowisku; najlepiej tańczył do modnej muzyki i recytował sentymentalne wiersze, i nigdy nie odmawiał, gdy któryś z kolegów prosił go o serenadę na skrzypcach solo dla swojej ukochanej. Już wtedy był bardzo chudy, sztywne włosy przyglądał pachnącą pomadą, a okulary o grubych szklach dodawały mu jeszcze wyrazu bezradności. Oprócz słabego wzroku, cierpiał

na chroniczne zaparcia, z powodu których przez całe życie musiał stosować przeczyszczające lewatywy. Miał tylko jedno świąteczne ubranie, odziedziczone po zmarłym ojcu, ale Transito Ariza dbała o nie tak starannie, że każdej niedzieli wyglądało jak nowe. Nie zważając na jego mizerną posturę, nieśmiałość i ponury strój, dziewczęta z jego otoczenia ciągnęły go kryjomu losy o to, by zostać z nim w parze podczas zabaw, a on bawił się z nimi w pary aż do dnia, kiedy poznał Ferminę Daza, i wtedy skończyła się dla niego beztroska.

Po raz pierwszy zobaczył ją owego popołudnia, kiedy Lotario Thugut polecił mu zanieść telegram niejakiemu Lorenzo Daza o nieznanym adresie. Odnalazł go w parczku Czterech Ewangelii, w jednym z najstarszych i najbardziej zrujnowanych domostw, którego patio przypominało klasztorny krużganek, z baldachami w glinianych donicach i wyschniętą kamienną fontanną. Florentino Ariza nie złożył żadnego odgłosu idąc za bosą służącą sklepieniem korytarzem, pełnym skrzyń jeszcze nie rozpakowanych po przeprowadzce i narzędzi murarskich porzuconych wśród stosów wapna i cementu, jako że dom poddawany był gruntownemu remontowi. W głębi patio znajdował się prowizoryczny kantorek, w którym drzemał za biurkiem bardzo otępy mężczyzna o kędzierzawych bokobrodach

zrastających się z wąsami. Rzeczywiście nazywał się Lorenzo Daza, lecz nie znano go w mieście, bo przybył tu zaledwie przed dwoma laty i nie należał do ludzi otaczających się przyjaźniółmi.

Odebrał telegram, jakby był on dalszym ciągiem koszmarnego snu. Florentino Ariza z rutynowym współczuciem obserwował jego bezbarwne oczy, patrzył jak niepewnymi palcami usiłuje przełamać lakową pieczęć, widział jego lęk, właściwy adresatom kojarzącym telegramy jedynie ze śmiercią. Po przeczytaniu doszedł do siebie. Odetchnął: „Dobre wiadomości”. I wręczył Florentinowi Ariza pięć obowiązkowych reali, pełnym ulgi uśmiechem dając mu do zrozumienia, że nie dostały ich, gdyby wiadomości były złe. Po czym uścił mu dłoń na pożegnanie — gest cołwiek przesadzony w stosunku do gońca pocztowego, i służąca odprowadziła go aż do głównej bramy, nie tyle, by mu towarzyszyć, ile żeby mieć na niego oko.

Wrócili tą samą drogą przez sklepiony korytarz, ale teraz Florentino Ariza zauważył, że w domu mieszkały jeszcze inne osoby, gdyż w przestępnym patio rozbrzmiewał głos czytającej lekturę. Przechodząc naprzeciw pokoju do sypialni, dostrzegł przez okno starszą



opowieść inicjacyjna, erotyczna i nostalgiczna. Podobnie więc w *Zorzach wieczornych* się dzieje\*. Akty kolejne: początkujący pisarz, Kraków wkrótce po okupacji, anegdota, przyszczoność napomknięta; potem na scenie pojawiają się przyjaciele dawni i nowi, rodzina, dzieci oraz wnuki. Konwicki — głowa rodu — jakby z zawstyżeniem się do tego statusu przyznaje, więc szybko podsuwa nam podróże. Australia (jak słodko jest chodzić do góry nogami), Japonia oraz Bratysława. Zamiast Gombrowiczowskiego „koniec i bomba...” otrzymujemy coś mimo wszystko podobnego: „Może życie nie ma sensu, ale i bładanie nad bezsenssem życia również nie ma sensu. Amen”.

Wolno przypuszczać, że z tego, między innymi, przeświadczenia wynika pewna charakterystyczna cecha prozy Konwickiego: brak znaków zapytania. Sam pisarz jest w pełni świadomy tego wyróżnika: nie stawia znaków zapytania, bo tworzą one retorykę zawodu. Retorykę, która często komponuje puste miejsca, wyznacza psychologiczne sytuacje zastępcze, mami twórcę i czytelnika.

„Moja proza to barwna plama na toni Wileńki, mojej rzeki, co przystanąła w swoim biegu, powstrzymana krwistym brzegiem zakola. To chwytliwy kształt ze zmiennymi kolorami na niepewnej powierzchni rzeki, czy raczej rzeczki, czasu”.

Mamy więc i metafizykę! I na pewno owo trwanie i przemijanie w czasie jest prawdziwym filozoficznym problemem Konwickiego. Jeżeli próbuje się od niego uchylić — problem tak czy owak dopada go i przypomina o swoim odwiecznym istnieniu. Ale można się jednak przed nim osłonić: „Poczucie humoru. Śmiech. Ten dziwny skurecz twarzy i rytmiczny, kaskadowy wydech podobny do gładzenia rosłej kury. Śmiech. To jedyny wartościowy prezent od opatrności”.

Nie kto inny jak Brzozowski napisał niegdyś, iż najwyższą miarą egzystencji ludzkiej jest umiejętność śmiechu. Wiem, że Brzozowski brzmi beznadziejnie polonistycznie. Bez niego Konwicki również postąpiłby się lustrem komicznym, w którym odbija się wszystko, wyjąwszy jedną sprawę śmiertelnie poważną: miłość i erotykę.

Bo w gruncie rzeczy jest to teatr jednego aktora i trzeba mu zmieniwać rekwizyty, aby widza nie znudził.

Lecz zabiegi te zdają się posiadać głębszy wymiar. Nie da się zrobić z Konwickiego tylko wesółka. Albo już szkopirowskiego wesółka, któremu często udaje się zobaczyć błysk nieskończoności, doświadczyć absurdu bytu i wybuchnąć śmiechem magicznym.

**AKT III:** Są w tym wszystkim również fobie. Małe złościwości. Zdziwienia, które nas nie za bardzo dziwią. Bo do prawdy nie w tym nie ma nadzwyczajnego, że literatura zaczyna pojawiać się na uniwersyteckich kampusach, zaś jej profesorowie chwytają za pióro. Zgadza się, iż może ona być nudnawa i szkolarska. No i co z tego? Konwicki wymyślił sobie swojego osobistego Pimkę — i zgodnie z tradycją jest to profesor polonista. Ten wieczny belfer stanowi przeciwagę pisarza rozchelatane-go i wulgarnego.

Ale co ja tutaj wypisuję? Dałam się sprowokować Konwickiemu, który zaatakował mnie podstępnie i oto bronię siebie-polonisty, siebie-belfra siebie-szkolarza, on zaś śmieje się zapewne, twarz mu się rozciąga w ulubionym grumasiu, zaś odegrawszy rolę prowokatora, spokojnie zaczyna mnie opłdywać siecią sentymentalnych wspomnień z wileńskich okolic, nie widząc już ani moich okularów, ani profesorskiego zacietrzewienia. Więc może rzeczywiście jest bokserem prozy?

Konwicki — tak sobie myślę — wytrzymał próbę bardzo trudnego czasu. Nie zmienił się — powtórzmy — ani w kaznodziej, ani w zatwardziałego opozycjonistę, ani w pisarza skrzywdzonego przez niesprzyjające okoliczności, ani też w oślepiającą gwiazdę literackiego



podziemia. Inaczej — uniknął szczęśliwie zachowań ekstremalnych. Jest próżny, egocentryczny, proteuszowy, podstępny i w tym wszystkim znakomity. A ja osobiście składam mu podziękowanie za historyjkę o młodym i groźnym esejście z bohaterkich (czytaj powojennych) czasów, kiedy to zawód ten budził groźę i pogardę. Jako osoba skromna w słowach nie mogę jej powtórzyć, odsyłam zatem Czytelników do strony 185. *Zórz wieczornych*.

\* T. Konwicki: *Zorze wieczorne*, Wydawnictwo Alfa, W-wa 1991.

# Teatr Konwickiego

Marta Wyka

Przez prozę Tadeusza Konwickiego przetoczyły się dziejowe burze, które on zapisywał, zaświadczał oraz doświadczał ich oczywiście. Teraz nawałnica jakby na chwilę ucichła, zmieniły się bioprądy, podniósł pułap ciężkich chmur, aby odsłonić scenę. I cóż my na niej widzimy? Oto Konwicki siedzi w swojej metafizycznej, pisarskiej nyszy, za oknem widok prawie ten sam co dawniej, tylko kota Iwana brak, starość go zmogła i przeniósł się w inne rejony, wciąż przecie z dala czuwając nad swym skłopotanym właścicielem. A ten bez jego interwencji napisał powieść prawie historyczną i inne też dzieła z siebie wydobył, lecz jedno na pewno o nim powiedzieć wolno: kuszony wielokrotnie, nie zmienił się ani w nieprzejednanego moralistę, ani w tego, co nie przestaje bić się we własne piersi, ani w natrętnego pedagoga. Pozostał przy swoim; to znaczy przy pewnej formie egocentryzmu, pozwalającej mu uczynić własne życie i pisarstwo tematem nieustającego spektaklu, zakomponowanego trochę jak *commedia dell'arte*. Bo w każdej nowej książce-przedstawieniu powtarzają się określone chwytły i motywy, zaś jej bohater z upodobaniem odgrywa przed nieco skołowaną publicznością tę sztukę-powtórkę z własnego życia, wspartą o twarde konstanty.

**AKT I:** Wileński Tadzia wylania się z mroków przeszłości, a wraz z nim okolica, ludzie, dawność, pejzaże zatrzymane w czasie, szkoła, panny, pierwsze miłości; czasem ułoży się z tego materiału osobna opowieść, wciśnięta pomiędzy dziennikowe wyznania,

Nie pytajcie mnie — zdaje się mówić Konwicki — dlaczego postąpiłem tak a nie inaczej, nie pytajcie też sytuacji, dlaczego okazała się taka a nie inna. Najważniejszy bowiem jest sam aspekt jej istnienia, a nie jego racjonalny sens.

Zatem wszyscy istniejemy w rzeczywistości zdań zakończonych kropką, z którą co najwyżej zmagać się potrafimy, bo zmienić jej nie sposób.

„Mój przyjaciel Gustaw Holoubek, największy nasz aktor, powiada, że ucząc się na pamięć rolę, przynajmniej czwartej części tekstu nie musi się uczyć. Bo to są prefabrykaty, gotowe segmenty myślowo-słowne, obszerne stereotypy powtarzające się w każdym tekście pisanym czy mówionym” — notuje Konwicki. Otóż teoria prefabrykatu równie dobrze odnosić się może do prozy samego Konwickiego. Ale w tym sensie, iż wytworzył on zasób prefabrykatów własnych, osobistych, prywatnych, które nie mogą być żadną wspólną własnością grona kolegów-pisarzy, bo tylko do niego jednego przynależą. I on ich z upodobaniem używa, komponuje z nich coraz nowe układy, coś tam dorzuca, coś zużytego na śmietnik przeznaczają. Ale nawet śmietnik Konwickiego zdaje się nam ciekawy, jak zasobny pchli targ, gdzie zawsze znajdzie się coś pożytecznego do urządzenia nowego wnętrza.

**AKT II:** Bez wątplenia, pisanie jest, lub chce być, formą porządkowania świata. Więc Konwicki powie, wbrew temu: „Padam plackiem przed chaosem...” I dorzuca: nie mam żadnego ideału, żadnego wzorca, nie przestrzegam reguł, nie chcę, aby mnie klasyfikowano. Ale wyrażając swoje dla chaosu ubóstwienie, już Konwicki nazywa pewne zjawisko, a zatem, nieporządek co prawda — porządkuje. Bo przecież jego narracja to nie strumień świadomości umykający wszelkiej kontroli.

Jeżeli nawet pisarz przybiera postać medium, którego ustami przemawia ów świat chaotyczny, to jednak zakres owej wypowiedzi taki jest, jak wcześniej pisarz zarządzi.

Zatem teoria ontologicznego chaosu, jak wcześniej teoria prefabrykatu istnieje na specjalnych warunkach: dyktuje te warunki Tadeusz Konwicki, współczesny Prospero nie lękający się groźnej rzeczywistości. Odróżniająca to bywa rzeczywistość: somatyczna, fizjologiczna, szpitalna (to aluzje dosyć częste). Zatem i proza — część tej rzeczywistości — nazywana bywa flakiem, pochodną i efektem biochemii wewnętrznej, choć tony poetyckie też się przydarzą:

„A przecież mój los jest wyreżyserowany przez kogoś albo przez coś, dlaczego ja nie mogę ukradkiem poprawić lub pogorszyć tej reżyserii. Wpłynąć na rysunek fabuły, kolor emocji czy zakres przeżywanej prawdy”.

A jednak myślę, że najaktywniejszym reżyserem tego losu okazuje się sam Konwicki. Więcej: on nie tylko rządzi przedstawieniem, ale rolę sobie przydziela i odgrywa je w stosownej dla danego przypadku konwencji. Element gry, motyw komicznego *theatrum mundi* nie da się przeczyć w prozie Konwickiego. Zawsze był w niej wyrazisty — teraz wydaje się doprowadzony niemal do absurdu.

Kim zatem Konwicki bywa? Proletariuszem zawodu, nieudolnym i walcącym z oporną materią urzędnikiem pióra, oszołomionym podróżnikiem z małego zakątka Europy, generatorem impulsów emocjonalnych i intelektualnych, niedysyjszym młodzieńcem, autorem bestsellerów, pisarzem opozycyjnym, przyjacielem Tyrmanda i Michnika, bywalcem kawiarni „Czytelnika” i amatorem kobiet.

Tyle zresztą wiemy od dawna. Kim zaś być nie chce? „Nie, ja nie jestem opowiadaczem i nie lubię słuchać czyichś opowiadań. Bardzo często usiłowałem wejść w skórę opowiadacza, przyjrzeć się uważnie, jak on uprawia swój proceder, od czego zaczyna i na czym kończy (...) Ale szybko nudziłem się tymi badaniami. Ja jestem z innego gatunku. Z innej rasy. Nie jestem opowiadaczem. Ja toczę walkę z bliźnimi. Przy pozorach uprawiania prozy ja zwykłych ludzi zaczepiam na ulicy”.

Myślę, że prawda tego wyznania jest co najwyżej połowiczna. Konwicki opowiada historię — w ostatniej książce funkcję takiej opowieści pełni wmontowana w nią mała powieść (czy też duże opowiadanie). Konwicki wie dobrze, jak opowiadać należy. Ten pozor rozpadu powieściowej materii, niemoc, z której nam się zwierza, służy budowaniu jednego z autorskich konterfektów, występujących w teatrze Konwickiego.

**JAVIER TOMEO** jest Aragończykiem, pochodzi z Quiceny (Huesca) w Hiszpanii, a obecnie mieszka w Barcelonie.

Pierwszą książkę pt. *El cazador* opublikował w 1968 roku. Po niej napisał jeszcze wiele powieści. Wśród nich: *El castillo de la carta cifrada*, *Amado monstruo*, *Preparativos de viaje* i *El cazador de leones*.

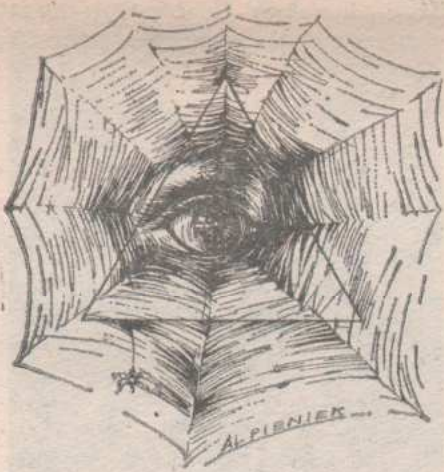
Literaturę Javiera Tomeo cechuje humor, a także jasny, przejrzysty styl.

W 1988 roku zostało wydane *Bestiario*. Pierwszym wrażeniem, jakie odnosimy czytając krótkie *Historie naturalne* jest wejście w inny, osobisty i nieprzekazywalny świat, gdzie bohaterami są zwierzęta, a w większości owady. Przedstawione są jako istoty rozumne, które rozmawiają o polityce, opowiadają o swoich marzeniach, zakochują się lub zabijają skutecznie niszcząc podręcznikowe opinie na ich temat.

## Pająk

Niektórzy mogą myśleć, że jestem stworzeniem posepnym, które żyje przejęte odkrywaniem coraz to nowych struktur geometrycznych lub rozwiązywaniem trudnych, wielobocznych problemów, podczas gdy moi bardziej radosni bracia pająki wypuszczają na wiatr swoje srebrne nitki lub ufnie trwają w środku wszechświata próbując go zrozumieć.

Jednak nie uważam się za osobnika posepnego; nie interesują mnie też wieloboczne problemy ani jeszcze nie odkryte struktury geometryczne. Jakkolwiek nie sądzę, że się tak bardzo różnię od moich braci. W końcu nasza budowa jest identyczna: oddychanie tchawkowe, łańcuchowy system nerwowy, rurkowate serce i dwie pary oczu, jedna na dzień a druga na noc.



To w czym rzecz, wyjaśnia fakt, że urodziłem się z zamienionymi oczami; podczas gdy moi bracia za dnia śmieją się wśród kwiatów, ja widzę te same kwiaty oczyma, które były przeznaczone wyłącznie do oglądania ciemności i tajemnicy.

## Rosiczka

Pająk przynajmniej zna swój problem. Natomiast moje życie pogrążone jest w wątpliwościach. Proszę, niech państwo skupią na mnie uwagę: dolna część mojego ciała jest podobna do bukietu zwiędłych liści. Między nimi na szczycie ogromnej łądy wznosi się wspaniały płatek

# JAVIER TOMEO BESTIARIO

purpurowy, niebieski, fioletowy, różowy. Moje przednie liście pulapkowe, te, które zaczepiają o zdobycz, wyglądają jak ogromne, membranowe rozszerzenie imitujące orchideę.

Często przeglądając się w lustrze stawu pytam samą siebie: jeśli nie jestem tym okrutnym owadem, za którego się uważam, to może jestem w rzeczywistości kwiatem?

## Ropucha

Niestety ja nie mogę sobie pozwolić nawet na przywilej wątpienia — skarży się ropucha nad brzegiem jeziora. — Zbyt dobrze wiem, kim jestem. Obrzydliwym zwierzęciem, na którego temat krążyły wierzenia, że pojawia się na sabatach czarownic wystrojone w aksamit, rozparte na dwóch tylnych łapach. W momencie, kiedy się zdenerwuję, wydzielam przez gruczoły mojej skóry śmiertelną truciznę.

Toteż dla ludzi nie liczy się mój łagodny głos ani nawet drżący w oczach odblask dalekich ogni.



## Mucha głowacz

Śmieszą mnie obawy tej ropuchy, śmiertelnego wroga prawie całego naszego gatunku. To ogromne stworzenie nie przejmowałoby się tak bardzo opinią bliźniego, gdyby jak ja rozwijało bardziej swojego ducha. Niech więc moje zachowanie posłuży jej za przykład. Zanim się urodziłam, moja matka gonila trzmieła i w pełnym locie złożyła na jego ciele jajeczko, z którego pochodzę. W końcu przekształcona już w larwę, dokonałam nie lada wysiłku, aby przeniknąć w głąb ciała owego głupca.

Przez jakiś czas żyłam w pobliżu jego przewodu pokarmowego żywiąc się krwią. Dzień po dniu trzmieł tracił siły, aż w końcu umarł.



Wtedy wybiła godzina mojego wyzwolenia. Dziś przekształcona już w dojrzałego owada pragnę ogłosić, że pomimo moich mrocznych początków stałam się jednolitą intelektualną, która żyje świadoma socjokulturalnego kontekstu swojej epoki.

Na potwierdzenie pragnę zdemonstrować państwu moją ogromną głowę, większą nawet niż mój tors.

## Pchła wodna

Dosyć już tej próżnej muchy! Lepiej żyć w nieświadomości. Czemu ma służyć częsta lektura? Czy temu, aby lepiej poznać własne ograniczenia? Czy też, aby dostrzec czekające nas okrutne przeznaczenie?

Oto na przykład ja. Pokrycie mojego ciała jest przezroczyście. Każdy może zobaczyć wszystkie moje wewnętrzne organy w pełnym działaniu: mózg, mięśnie, jelita i serce. Tak więc nie mam przed nikim sekretów.

Ta szlachetna przezroczystość jednak do niczego mi nie służy. Gdyby inne moje siostry, które teraz są szczęśliwe, umiały czytać, wiedziałyby, jaki koniec je czeka: sztucznie hodowane w zbiorniku wodnym posłużą za pokarm nieprzezroczystym rybnym w stawie.

## Skarabeusz Herkules

Nikt nie może zaprzeczyć temu, że jestem wspaniałym owadem. Świadczy o tym moje masywne ciało koloru szaropierłowego, nakrapiane czarnymi plamkami i zadziwiający rożek umieszczony na przodzie jak dziób statku.

Poza tym posiadam jeszcze drugi rożek, choć już nie tak wielki jak pierwszy i parę błoniastych skrzydeł chronionych przez chitynową osłonę. Długość mojego ciała może osiągnąć trzydzieści centymetrów. Poruszam się za pomocą sześciu krzepkich odnóży, kołysząc się jak okręt wojenny schwytny przez niepomyślne wiatry.

Najgorsze prośbę państwa jest to, iż pomimo mojego groźnego wyglądu jestem nieszkodliwym, nienawidzącym przemocy stworzeniem, które codziennie rano w najspokojniejszym, leśnym kątku upija się słodkim miększym sianem o lepszych światach.

Powiedzą państwo, że to nie poważnego i mogę czuć się dumny z tego, że jestem owadem kochającym pokój.

Jednakże ja żyję w nieustannym lęku przed nadejściem takiego dnia, kiedy ktoś odkryje, że pomimo moich dwóch rożków nie jestem w stanie strącić płatka róży.

Gdyby to się stało, nie pozostałoby mi nic innego, jak tylko zrzucić moją maskę i przyjąć wyzwanie tych, którzy dzisiaj na mój widok uciekają w popłochu.

## Modliszka

Opowiem ci coś takiego, że poczujesz się dumna — mówię do modliszki. — Czy wiesz moja przyjaciółko, że Rzymianie obok wizerunków swoich bogów umieszczali, wygrawerowany w brązie, obraz jednej z twoich poprzedniczek? Czy wiesz, że jeszcze gdzieś żyją wieśniacy, którzy spotykając was w lesie pytają, którą drogą lepiej podążać?



— Nie dziwi mnie to, co mówisz — ona odpowiada.

Nasz wygląd każdemu mógłby zaimponować: oczy spokojne i niewinne, a przednie łapki w geście modlitewnym. Myślą, że jesteśmy pobożnymi owadami i za to nas podziwiają.

— Mylisz się — odpowiadam. — Mylisz się, ponieważ to, co w was podziwiają najbardziej, to wasz kanibalizm bez wyrzutów sumienia.

Dżdżownica

— Pełzasz jak wąż, który kąsa piersi kobiety. Powiedz mi, kim jesteś.

— Jestem dżdżownicą — odpowiada mi powściągliwie. — Podziemnym pracownikiem, który musi poruszać się w ciemności. Skromną istotą, która pracuje bez pośpiechu lecz bez przerwy. Dzięki krzepkiemu umięśnieniu ciała mogę drążyć długie korytarze nie potrzebując ani szczęk, ani łap, transportuję w głąb gniazda zwiędłe liście i zgnile lodygi. Spędzam dzień na jedzeniu ziemi, którą obracam w moim przewodzie pokarmowym. Mieszam ją z solami, fermentami, kwasami, witaminami i hormonami, a następnie zwracam ją w formie cienkich serpentyn. Tam później rozwinię się nieskończona ilość stworzonek, które dadzą życie roślinności. Proszę uważnie skupić na mnie uwagę, zaledwie posiadam oczy. Niewiele mogłabym zdziałać w krainie słońca. Moje prawdziwe miejsce znajduje się w mroku.

— I to ci dokuczają?

— Nie — odpowiada. — Nie dokuczają mi. Potrafię się z tym pogodzić. Poczynam się myślać, że tam gdzie rządzą ciemności, zawsze pulsuje nieokreślona moc.

Skorpion

Mroczne, telluryczne siły kojarzone z ciemnością i starymi kamieniami doskonale mnie wyrażają. Toteż wzbudzam lęk wśród ludzi. W starożytności pełniłem funkcję strażnika królewskiej korony. To właśnie ja dałem kształt jednemu z najstarszych hieroglifów. Przywoływanie teraz mojej dawnej wielkości nie służy mi jednak za pocieszenie, ponieważ żyć wspomnieniami to jak żyć w krainie umarłych.

Gąsienica wicekról

Swoje aktywne życie rozpoczęłam od pożerania liścia topoli, gdzie umieszczone zostało jajeczko, z którego pochodzę.

Nie zjadłam go jednak w całości. Przeciwnie, zostawiłam na końcu mały kawaleczek do złudzenia przypominający mój kształt. W ten sposób mogłam oszukać ptaka, który pewnego ranka rzucił się na resztkę liścia (myśląc, że uda mu się ze mną skończyć), podczas gdy ja wypoczywałam sobie ukryta wewnątrz rulonika zwiniętego z innego liścia.

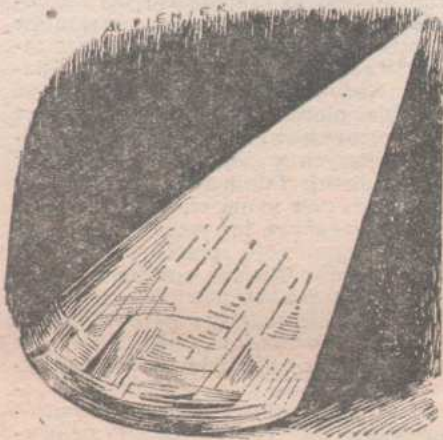


Później, gdy już trochę podrosłam, ten podstęp okazał się bezużyteczny. Toteż zmieniłam skórę i przebrałam się w nowy strój, koloru brązowego, ciemnozielonego w białe plamki. Upodobniłam się, powiedzmy to sobie szczerze, do ekskrementów mojego niedoszłego zabójcy.

Przyznaję się do prostackiego przebrania, ale dzięki temu fortelowi, a także innym wykorzystywanym w moim trudnym życiu larwalnym, mogłam przemienić się w poczwarkę i wreszcie we wspaniałego motyla wicekróla, podziwianego dziś bez zastrzeżeń przez mieszkańców lasu.

Świetlik

Jestem tropikalnym świetlikiem, żyjącym klejnotem. Nie ma piękniejszego ode mnie. Nasze światło, w zależności od gatunku, może być czerwone, zielone, żółte lub białe i rozbłyśkuje plamkami w formie pierścieni, znajdujących się na torsie. Podczas lotu ruch skrzydeł na przemian zasłania i odsłania ciało sprawiając, że światło wydaje się przerywane i błyszczące.



Jeszcze wczoraj z tysiącami innych moich braci oświetlałem noc na plaży piosząc piratów. Dziś uwięziony w złotym łańcuszku na czarnych włosach kobiety, jestem jedynie nieszczęśliwą istotą w służbie obcej piękności.

Ślimak (II)

Moim poważnym problemem jest głód. Nie mam czasu, tak jak świetlik, przejmować się zagadnieniami estetycznymi. Muszę nieustannie jeść, nie dając sobie chwili wytchnienia. A to nie jest łatwe. O, na przykład tam po prawej stronie, rośnie szczaw, roślina o czerwonych kwiatach. Jeśli przyszłoby mi na myśl, by jej uszczknąć, to upadłbym schwytny przez okropne konwulsje. Ta przebiegła roślina w obronie przed nami wytwarza kwaśny sok, ognistą ciecz. Bronią się również: ruta — swoimi eterycznymi olejkami, zmiłowe ziele — cierpkością liści, a pokrzywa — trującymi włoskami.

Niewątpliwie panorama jest wystarczająco ponura — przyznaję. — Ale pozostaje wam jeszcze ucieczka do ogrodu. Tam nie będzie problemów. Kwiaty i rośliny hodowane są nieszkodliwe.



— Jasne, są nieszkodliwe — przyznaje ślimak. — Człowiek eliminując trucizny zlikwidował całe ryzyko. Ale proszę się postawić na naszym miejscu, zmniejszyć do naszych rozmiarów, pełzać tak jak my po ziemi, a wtedy proszę odpowiedzieć na moje pytania: Gdzie znajdują się te nieszkodliwe kwiaty i rośliny? Która droga prowadzi do ogrodu, gdzie są hodowane? Jak orientować się w tej nieskończonej puszczy, pełnej zwodniczych kierunków? Dlatego nie pozostaje nam nic innego jak tylko odżywiać się mdlymi liśćmi, które opadły ze starych, stwardniałych pni.

Spośród wszystkich roślin w lesie jedynie grzyb pozwala się bezkarnie pochłaniać. Robi to jednak z egoizmu; ten stary spryciarz bardzo dobrze wie, że po jego śmierci rozsiejemy nasiona, które pozwolą mu się odrodzić.

Ślimak (III)

A oto inny ślimak — wołam czując na czole pierwszą kroplę deszczu. — Czy ty też mój ospały przyjacielu skarżysz się, że nie możesz odnaleźć drogi do ogrodu?

— Nie — odpowiada. — Nie skarżę się. Potrafię ją odnaleźć. W rzeczywistości mieszkam blisko ludzi i nie mam powodów, żeby się skarżyć na to sąsiedztwo. Niektórzy z nich oczarowani spiralami mojej muszli nazywają mnie Mistrzem Cyrkla.

Posiadam płuco, nerkę i jeden tylko przedsiónek serca. Żyję od dwóch do trzech lat, ale i to mi wystarcza. Pełzając po ziemi pozostawiam ślad, który odbija wszystkie kolory tęczy. W dowolnym miejscu kopię otwór i na świeżo poruszonej ziemi składam jajeczka, bezbarwne larwy nieco większe od główki szpilki. Następnie wracam na zewnątrz, zamaskowuję wejście i dalej podążam swoją drogą jak gdyby nic się nie stało.

Można powiedzieć, nie bez racji, że zostawiam jajeczka zdane na los szczęścia. Najważniejsza, jak sądzę, pomimo tego, że płaszczę się do ziemi, jest moja troska o to, aby im stworzyć gniazdo.

Tak samo w końcu, jak to czynią najpiękniejsze ptaki.

Termit

Choc nie mamy nic wspólnego ze ślimakiem, to wstydzę się z powodu jego samoponizenia. Nie uważam za słusne rozgłaszania własnych ograniczeń. Chwalmy najpierw naszą wolę przeżycia, a później nasze zalety, natomiast ukrywajmy troski.

Proszę potraktować mój gatunek jako przykład. Kiedy wzlazemy do nieba, jesteśmy tak słabi, że unosi nas wiatr i poddajemy się kłusaniu fruującej kolo nas ważki. Na szczęście firmament jest tak rozległy, że nie uważamy się za skazanych.

Kiedy światło przestaje nas nęcić, obniżamy lot i zginając w łuk nasze ciała pozbywamy się skrzydeł.

Wybieramy samice, zagłębiając się razem w szczelinie pnia i tworzymy gniazdo wykorzystując przeżuwany miękisz drzewny.



Potem w naszej ślubnej komnacie następuje intymne, miłosne połączenie i zaledwie błysk... a już pojawiają się jajeczka. Na początku niewiele. Później lawina. Sto tysięcy, dwieście. Milion. Do trzech tysięcy jajeczek dziennie.

Teraz przedstawię to, co nas wyróżnia, cechę naszego geniuszu: od pierwszego dnia nie pozwalamy, żeby to mnóstwo jajeczek mogło stać się problemem. Zajmujemy się kontrolowaniem rozwoju larw. Nie chcemy, żeby z czasem osiągnęły kategorię postaci królewskich, użytecznych tylko do reprodukcji. Pragniemy jedynie robotnic i żołnierzy.

Niech nie zabraknie pokarmu dla żadnej z tych larw, ale niech jednocześnie we wszystkim, co jedzą, znajdują się substancje hamujące rozwój.

Nasza dalekowzroczność może kogoś dziwić, ale nauczyliśmy się tego fortelu, kiedy człowiek nie był jeszcze człowiekiem: sprawność i wielkość naszej monarchii opiera się na sterylizacji proletaariatu.

Przełożyła: ANNA SOSIŃSKA

Rysunki: ALEKSANDER PIENIEK





## Radość rozmawiania

THOMAS MERTON, CZESŁAW MIŁOZ: „Listy”. Przełożyła Maria Tarnowska, Wyd. „Znak”, Kraków 1991.

Pośród wielu przedstawień Raju, jakie zaludniają muzea świata, a które dańce mi było oglądać, jedno wydaje się szczególnie pociągające. Jest to niewielki obrazek Giovanniego di Paolo z Sieny. Ukazany na nim Raj ma charakter wielkiego garden party. Ludzie przyodziani bogato we włoskie stroje — uczeni, dostojnicy Kościoła, kobiety ze złotymi skrzydłami — stoją ustawieni w pary na jaskrawozielonej trawie i rozmawiają ze sobą. Nad ich głowami owocują złotymi jabłkami drzewa, w trawie rosną kwiaty podobne do hiacyntów i bez-trosko hasają białe króliczki. Ponieważ malarz nie w pełni radzi sobie z perspektywą, rozmawiający wznoszą się nad sobą warstwami, u góry zaś w ten sam sposób nakładają się na siebie rzędy drzew. Trudno zgadnąć, co jest tematem rozmów toczonych w rajskim ogrodzie. Sama jednak myśl o połączeniu Raju z rozmawianiem budzi sympatię do Giovanniego di Paolo. Gdyby Raj miał być miejscem odzyskania wszystkich utraconych, nie odbytych lub źle przeprowadzonych dialogów, już z tego jedynie powodu warto by się było do niego dostać.

Ten zachowany w pamięci obrazek przyszedł mi na myśl podczas lektury książki złożonej z listów Thomasa Mertona i Czesława Miłozsa wydanej niedawno przez „Znak”. 40 przeszło listów napisanych w ciągu dziesięciu bez mała lat. Spotkanie, o jakich zwykło się mówić, że są niezwykle zbiegami okoliczności.

Thomas Merton urodził się w r. 1915 we Francji, co uznać można za przypadek, matka jego bowiem była Amerykanką, ojciec pochodził z Nowej Zelandii. Biografia Mertona należy do tzw. barwnych życiorysów. Mieszkał na przemian w Ameryce, we Francji, w Anglii, wcześniej osierocony i zdany na siebie. Podróżował, zgłębiał rozmaite dziedziny wiedzy: języki obce, literaturę francuską prawo, geologię. Był nauczycielem literatury angielskiej w nowojorskich college'ach, parą się dziennikarstwem, pisał powieści, których nie chciano mu wydawać. Zainteresował się scholastyką i jako dwudziesto-trzyletni już mężczyzna przyjął katolicyzm. Równocześnie coraz bardziej gorączkowo szukał swojego miejsca w świecie, miejsca, gdzie nie pchałaby go siła bezwładu, lecz gdzie przywodziłoby go świadomy wybór. Pierwszym posunięciem było przekroczenie granic czarnego getta i praca wśród mieszkańców Harlemu; drugim, radykalnym — wstąpienie do klasztoru Trapistów w Gethsemani w stanie Kentucky. Przebywał w nim 26 lat, kilka razy jedynie opuszczając na krótko klasztor. Podróż na Daleki Wschód, jaką przedsięwziął w r. 1968, miała się okazać jego ostatnią podróżą. Zmarł nagle w Bangkoku, dotknięty nieopatrznie źle izolowanego wentylatora.

Czesława Miłozsa nie trzeba już, na szczęście, przedstawiać polskiemu czytelnikowi. Gdy w zimie 1958 roku Thomas Merton wysłał do niego swój pierwszy list, Miłozs mieszka we Francji, w Montgeron. Ma za sobą ciężkie chwile: decyzję o zerwaniu z krajem i pozostaniu na emigracji, trudności materialne, doświadczenie samotności. „Przeszedłem przez wiele rozpaczy” — napisze w swoim pierwszym liście do Mertona. Jest już autorem *Zniewolonego umysłu* — jednej z najważniejszych swych niepoetyckich książek. Ta właśnie książka miała połączyć dwóch niezwykle ludzi, żyjących w tak odległych, zdawałoby się, światach; ona bowiem stała się pierwszym powodem korespondencji, która wkrótce okazała się czymś więcej niż wymianą poglądów na ważne dla obu stron tematy. Przyniosła rzadki dar duchowego braterstwa i wzajemnej szczerości.

Jeśli istnieją kobiety i mężczyźni stworzeni dla siebie mimo dzielących ich różnic czy odległości, istnieją też zapewne stworzone dla siebie umysły. Takimi właśnie umysłami byli Merton i Miłozs, i to sprawia, że dialog ich jest fascynujący. Rozmawiają bowiem ze sobą ludzie, którzy nie tyle walczą ze światem o swą wybitność (jak powiadał Gombrowicz), ile o odnalezienie i ocalenie swojej wewnętrznej prawdy. Nie utwierdzają się więc wzajemnie w mniemaniu o własnej inteligencji i wielkości, lecz wspomagają się w dążeniu do wewnętrznej harmonii, korygują fałszywy obraz świata, jaki w sposób nieunikniony każdy z nas tworzy za pomocą własnych złudzeń i przesądów. Prawdą Mertona jest Bóg; prawdą Miłozsa — wierność pisarskiemu powołaniu. Ale obaj: i Merton-zakonnik i Miłozs-poeta nie zamykają oczu na rzeczywistość; ani kontemplacja, ani poezja nie wyłączają ze świata, lecz przeciwnie — pozwalają uzyskać lepszą widoczność jego zjawisk. Szczególną fortuną spotkania Mertona i Miłozsa polegała na subtelnej grze podobieństw i różnic, symetrii i uskoku ich duchowych sytuacji i ich życiowego doświadczenia.

Merton nie jest, co oczywiste, przeciętnym zakonnikiem. Nie tylko ze względu na swój poziom intelektualny; także ze względu na osobliwość swojego społecznego horyzontu i bezwzględność osądu moralnego, obejmującego swym ostrym światłem nie tylko to, co „obce” i tradycyjnie „wrogie”, lecz także to, co „własne”, przynależne do świata, który wybrał, co nie znaczy: bezkrytycznie zaaprobował. Będąc żarliwym wyznawcą i głosicielem Ewangelii, Merton przylegał niekiedy typem swego wrażliwości do wzorca „lewicującego intelektualisty”,

jaki ukształtował się na szeroko rozumianym Zachodzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (w rozpowszechnionej dziś w Polsce typologii zaliczono by go zapewne do „lewicy katolickiej”). Nieprzypadkowo droga Mertona do pustelni w Gethsemani prowadziła przez Harlem, jedną zaś z ważniejszych przyczyn i jednym ze składników duchowego fermentu, który zrodził jego zakonne powołanie, była odraza do „społeczeństwa dobrobytu”: jego płytkości, głupoty, moralnego fałszu. Mertoniowi nienawistny jest też wszelki fanatyzm i robi wszystko, by zachować wewnętrzną czystość osądu sprawiedliwego. Wie, co myśleć o Sartrze, ale widok współbraci, których łatwiej rozplomić żarem nienawiści do komunizmu niż miłości do Boga, nie budzi w nim przychylnych uczuć. Merton jest pokorny i otwarty na cudze doświadczenie: religijne, polityczne, historyczne. Pisze do Miłozsa, ponieważ czuje w nim człowieka serio, który zaznał tego, co jego szczęśliwie ominęło: komunizmu, i zmagają się z moralnym problemem uczestnictwa w złu. Pisze, ponieważ chce więcej wiedzieć i lepiej rozumieć. Nie spodziewa się zapewne, że w Miłozsu znajdzie nie tylko duchowego pobratymca, ale i mentora.

Gdyby w biografii wewnętrznej Miłozsa szukać jej głównych wiązań stropowych, można by poza powołaniem poetyckim wskazać co najmniej dwa inne: religijność i „dylemat lewicowości”. Sposób, w jaki Miłozs sam przedstawia swój stosunek do religii, pozwala go opisać jako „anima naturaliter religiosa”, choć dusza to raczej anarchiczna niż poddająca się dyscyplinie, chętniej chodząca własnymi drogami niż uległa wobec form instytucjonalizowanych, co łatwo przybiera postać krytycyzmu, a nawet arogancji wobec Kościoła jako instytucji i władzy. Młodzieńcze politycki z katecheta stanowiły niewątpliwie prefigurację tego stanu rzeczy.

W układzie sił politycznych i ideologicznych, na jaki natrafila jego młodość, Miłozs przyjął postawę lewicującego intelektualisty, co oznaczało wówczas krytyczny stosunek do wojującego nacjonalizmu, niechęć do mocarstwowego mitu oraz ten rodzaj społecznej wrażliwości, który kazał opowiadać się (raczej emocjonalnie zapewne niż doktrynowo) po stronie „skrzywdzonych i poniżonych”. Z tego powodu popadał w konflikty ze zwierzchnikami, co wielokrotnie wspomina i opowiada. Potem przyszło doświadczenie wojny i pierwszych lat powojennych: spełniona apokalipsa i miodowe miesiące Polski Ludowej. Dalej: gwałtowne zerwanie i *Zniewolony umysł*. Miłozs nie należy wszakże do ludzi, którzy dokonując kolejnego wyboru moralnego przeprowadzają wstecz korektę swojej biografii przez włączenie mechanizmu amnezji lub przez spektakularne wyparcie się błędów. Autor *Zniewolonego umysłu* wypowiada się jasno przeciwko komunizmowi i równocześnie dobrze wspomina swoją le-

wicującą młodość. Jego pamięć ideologiczna i jego społeczna wyobraźnia ma charakter nie linearny lecz symultaniczny. To utrudnia mu życie zarówno pośród francuskich lewicowców, jak i ślepych na wszystko inne rodzimych antykomunistów, pośród „postępowych” profesorów amerykańskich i ich zdecydowanych przeciwników. Nie mieszcząc się w żadnej prostej klasyfikacji postaw, Miłozs chcąc nie chcąc staje się żywym wcieleniem „nierozstrzygalności” tak uchowanej przez postmodernistycznych filozofów. Ta nierozstrzygalność Miłozsa trafia na podobną sobie, choć częściowo — by tak rzec — przesuniętą nierozstrzygalność Mertona, co czyni prowadzony przez nich dialog wielkim duchowym widowiskiem.

Miłozs i Merton piszą do siebie o różnych rzeczach: o Bogu i o poezji, o kształcie współczesnej kultury i jej zagrożeniach, o przemianach zachodzących w Kościele, o książkach i ideach. Często zgadzają się ze sobą. Ale nie jest to gładki dialog komplementów i uprzejmości, acz przyznać trzeba, że to Miłozs bywa odważniejszy i bardziej niż Merton nieprzejednany. Od czasu do czasu role rozmówców się odwracają jak w retorycznym popisie z szekspirowskiego dramatu: Miłozs zwalcza u zakonnika Mertona pokusy i przesady, jakim hołdowała w swoim czasie większość zachodnich intelektualistów, a których polski poeta bądź nigdy nie posiadał (jak np. przesadę prorocyjskości), lub od których zdołał się już dawno, choć nie bezboleśnie, uwolnić. Także w religijnej eseistyce Mertona znajduje Miłozs skażę i jej nie przemleca. Zamknięta w twierdzy wiary, bliższa teologii refleksja religijna, jaką Merton uprawia, często pozostawia go obojętnym. Namawia więc Mertona do natchnionej katechezy, która zechciałaby przenikać do dusz wątpiących lub zgola pozabawionych światła, która otwierałaby oczy niewidzącym a uszy niesłyszącym. Rozmówca Miłozsa rzadko daje się wciągnąć w dyskusję, co wynika nie tyle z jego przyrodzonej łagodności i pokory, ile z nieregularności samej korespondencji. Zawsze natomiast pociesza Miłozsa, gdy nawiedzają go chwile wątpliwości w moralną przyzwoitość poetyckiego rzemiosła, powściąga jego skłonność do rozpaczliwej i samoudręczenia. Miłozs wielokrotnie wyrzuca sobie swoją besce-remonialność, ale nie chce wyrzec się tego, co w owej wymianie jest dlań szczególnie cenne: szczerości i takiego stanu ducha, jaki zna tylko miłość najdoskonalsza — poczucia bezpieczeństwa w oddaniu.

Czytelnik po latach śledzący ten dialog nie tylko odnosi z niego intelektualny pożytek, czuje także tę jego głęboką pulsację i wewnętrzne uniesienie, któremu sam z radością pozwala się ogarnąć. Dziś, gdy coraz częściej odnosimy wrażenie, że słowa znowu tracą swoją wagę, dialogi zaś przybierają postać napaści, listy Mertona i Miłozsa działają orzeźwiająco i przenoszą w inny wymiar życia.

Teresa Walas

## Camera Obscura

Pamięć zawodzi trochę Janusza Maciejewskiego, gdy pisze w „Potopie” (nr 15-16) o referacie krakowskiej czwórki — Błońskiego, Flaszna, Kijowskiego i Puzyny — o grotesce dwudziestolecia, ogłoszonym na zjeździe kół naukowych w r. 1949. Referat był wspólnym tekstem tylko trójki; Kijowski nie był jego współautorem. (hm)

W prasie, radiu i telewizji używana jest nazwa „Wspólnota Niepodległych Państw”. Poprawnej byłoby: „Wspólnota Państw Niepodległych” — z przymiotnikiem po rzeczowniku, tak jak w nazwie „Stany Zjednoczone” (a nie Zjednoczone Stany). (hm)

O Lidii Czarnej, autorce „Księżniczki Dżawacha” i innych powieści dla dziewcząt już kiedyś w „Camerze” wspominaliśmy. Ale skoro Magdalena Raszevska („Gazeta Wyborcza” z 13/15 XII) skarży się, że niczego o niej nie można się w encyklopedii dowiedzieć, a Piotr Kuncewicz („Agonia i nadzieja”; t. I, s. 225) daje jej imię „Lucyna” i zalicza do literatury polskiej, napiszemy teraz dokładniej: nazywała się naprawdę Lidia Aleksiejewna Czurilowa, urodziła się w r. 1875, od r. 1898 do 1924 była aktorką w Teatrze Aleksandrinskim w Petersburgu. Równocześnie pisała wiersze i prozę dla dzieci i młodzieży — już w r. 1902 ukazały się jej

„Zapiski instytutki”, (tj. pensjonarki). Zmarła w r. 1937 w osiedlu Czełkowskoje w Kraju Krasnodarskim, więc najpewniej na zesłaniu. (hm)

„Resentiment” to nie wrót do dawnych przyjaznych uczuć, lecz przeciwnie — uraza. Nie wie tego widać Bogumił Drozdowski („Nowy Świat” nr 13), skoro pisze, że „w polskiej publicystyce pojawiają się imperialno-carskie resentymenty” zapewne dlatego, „by i od tej strony dopieć bolszewizmowi”. (hm)

Grażyna Nowak („Gazeta Krakowska” nr 295) pod tytułem „Nieszczęsna polska Wenus” opowiedziała życiorys Barbary Ubryk — zatajając jej nazwisko; za jego odgadnięcie rozlosowane zostały między czytelników nagrody.

Niestety, autorka zawierzyła całkowicie Juliuszowi Stanisławowi Harbutowi, w którego książce „Mały Rzym” (1935-1939) fakty splecione były ze zmyśleniami i fantazjami. Do zmyśleń należy także twierdzenie, że urodę młodej Ubrykowej sławił w swym wierszu Norwid. Cytat (niedokładny zresztą) „Jej urodzie tylko gwiazdy jasnością zrównałyby może” wskazuje, że chodzi tu o wiersz „Polka”, który z postacią nieszczęsnej zakonnicy nie ma nic wspólnego. (hm)

Michał Głowiński analizując „nowomowę” lat siedemdziesiątych („Gazeta Wyborcza” nr 301), powołuje się na arty-

kul w „Trybunie Ludu” z r. 1977, pióra „niejakiego prof. dra Jerzego Grzymka”, dodając sarkastycznie: „na każdą okoliczność znajduje się profesor doktor”. Otóż jakkolwiek by ocenił enuncjacje polityczne prof. Grzymka, jest to bardzo wybitny przedstawiciel polskiej myśli technicznej w zakresie stosowanej termodynamiki i fizykochemii krzemianów oraz kompleksowych technologii wytwarzania materiałów budowlanych i nie wypada pisać o nim per „niejaki”. Notabene — niech świętny autor „Marcowego gadania” wybaczy, ale deprecjonowanie niesympatycznych osób za pomocą słówka „niejaki” to typowy przejaw „nowomowy”. (hm)

# SZKIC Z PODRÓŻY DO EUROPY

(CD. ZE STR. 1)

tażem Europą" z jednej, zaś „kompleksem Europy" z drugiej strony: to pierwsze pojawia się najczęściej w samej Europie, drugie widoczne jest w Ameryce i Rosji. USA — zapewne także Kanada oraz Australia — i Rosja to zapatrzone w Stary Kontynent jego dzieci. Gdy spojrzeć z ich perspektywy na Europę — czy to ze Swierdłowska czy z Iowa City — okaże się, że ten małeńki w gruncie rzeczy obszar stanowi dla nich jednolitą całość, choć z naszego, wewnętrznego punktu widzenia, jest niesłychanie zróżnicowany: językowo, historycznie, kulturowo — i jakkolwiek by jeszcze określać dzielące Europejczyków odmienności. Tymczasem, gdy się spotka podróżujących po Europie Japończyków czy Amerykanów, terytorium to stanowi dla nich jeden obszar, na którym wszędzie porożrzucane są stare, gotyckie i barokowe kościołki, zaś na tablicach nagrobnych odczytywać można łacińskie inskrypcje. Z Madrytu do Wenecji czy z Padwy do Budapesztu i Krakowa poruszają się jak po jednolitej przestrzeni, odległość zaś dzieląca Sztokholm od Frankfurtu nad Menem wydaje im się zwyczajną porcją turystycznej trasy.

Co ich interesuje, to (Japończyków) odmienność, swoista egzotyka Europy lub (Amerykanów, Nowozelandczyków, Kanadyjczyków) coś, co określać mogą jako swoje korzenie, kolebkę własnej kultury. Lecz przecież, poruszając się po tym obszarze, widzą — mimo różnic cywilizacyjnych i kulturowych — to samo co u siebie: ten sam migotliwy pejzaż reklam Coca-Coli, Marlboro, Panasonica czy Toyoty, młodzież nosząca te same dzinsy, te same budowle Intercontinental czy Holiday Inn lub Hilton, te same bary Mc Donalda czy Burger King.

Stuchają w gruncie rzeczy tych samych przebojów, jedzą te same hamburgery, piją te same drinki. A przecież jadą nie gdzie indziej, lecz do Europy — to ich tu najbardziej interesuje, o tym później będą opowiadali w domu, to jest ta fascynująca podróż. Dokąd?

Opowiadamy tu sobie często, że należy się bronić przed amerykanizacją życia. Ale czym jest owa „amerykanizacja"? Powrotem Europy do siebie samej. W końcu, gdy się nad tym zastanowić, Ameryka jest produktem europejskim. Specyficznym, lecz przecież inaczej być nie mogło. Ale też jego specyfika polega na czymś niesłychanie istotnym. Otóż kulturze amerykańskiej brak tej bardzo dramatycznej nuty obecnej na Starym Kontynencie: poczucia schyłkowości, dekadencji towarzyszącej nam od czasów owej słynnej Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ameryka to chyba właśnie odnaleziona utracona forma — a w każdym razie jeden z jej wariantów — kultury europejskiej. Forma, która poczucie dekadencji zastąpiła mitem pionierów. W jakiś sposób podobny mechanizm funkcjonuje chyba i w Japonii, a zakorzeniony jest także w Europie, stąd bowiem wyszły impulsy uruchamiające dynamikę gospodarczą tego kraju.

Otóż przypuszczać należy, że te podróże Amerykanów i Japończyków do Europy mają ten sam charakter, jaki mają podróże Europejczyków do Grecji czy Włoch.

Chodzimy tam po żywych przecież miastach, lecz nie owo życie tak nas przyciąga, lecz to, co pod nim ukryte: przeszłość — ruiny z jednej strony, z drugiej zaś, gdy umiemy je jeszcze wypatrzeć, pejzaże, w których rodziła się filozofia Sokratesa i Platona oraz republikańskie instytucje starożytnego Rzymu. To więc, co w nas samych jeszcze jest jakoś żywe.

Gdy my z kolei podróżujemy po innych kontynentach, poszukujemy egzotyki, czyli tego, co zupełnie inne i odmienne od naszych doświadczeń. Nie interesuje nas to, co sami tam wniesliśmy: to mamy w Europie. Odszukujemy w skupieniu resztki zniszczonych przez nas kultur, odcyfrowujemy nieznaną hieroglify, odczytujemy imiona bogów, którzy nie potrafili uchronić swych wynawców przed inwazją. Inwazją czego? Tego, co dziś musimy nazwać barbarzyństwem, a co jest przecież właśnie naszym dziedzictwem. Tym barbarzyńcami bowiem sami byliśmy. To Europejczycy jeszcze nie tak dawno handlowali niewolnikami, wycinali w pień całe narody, zaprowadzali „cywilizowany" porządek, który oznaczał śmierć często bardzo starych kultur. Jesteśmy jak zbrodniarze powracający na miejsce przestępstwa.

Wydaje mi się, że oba te kierunki podróży można spiąć pewną klamrą. I ci, którzy przyjeżdżają do Europy, i Europejczycy wybierający się w egzotyczne światy w jakiś sposób — pewnie nie zawsze do końca to sobie uświadamiając — zmierzają do przewartościowania dotychczasowego dorobku. Zanurzają się w przeszłości jakby dokonywali repetycji, powtórki materiału przed egzaminem, który ich oczekuje. Nie tyle poszukujemy nowych idei, co raczej pragniemy dokonać moralnego obrachunku. I jest to moralny obrachunek z Europą właśnie. I można ten wątek, na dobre zapoczątkowany w połowie lat sześćdziesiątych, śledzić w wielu dziedzinach: w literaturze i filmie, w publicystyce i nauce. Rację ma więc chyba Paz, gdy pisze o tym właśnie wymiarze buntu sprzed ćwierć wieku, który poruszył podstawami Starożytności.

3.

Należy jednak zwrócić uwagę na dziwaczne zjawisko.

Im bardziej Europejczycy usiłują zwalczyć swój europocentryzm, tym silniej się w nim utwierdzają. Brzmi to jak paradoks, lecz paradoksem nie jest: walka z europocentryzmem jest bowiem także wytworem Europy.

Inaczej być nie może. I nie jest w tym ważne to, czy u podłoża owej postawy leży — jak w XVIII stuleciu — wiara w „szlachetnych dzikusów", których nie skażone cywilizacją dusze mają być wzorcem dla zepsutych i przerafinowanych Europejczyków, czy też — jak to bywa obecnie — wyrzuty sumienia za popełnione przez Europejczyków zbrodnie. Tak czy owak sprawa europocentryzmu i walki przeciw niemu jest sprawą Europy. Nie jesteśmy w stanie wcielić się w innych, przyjąć ich punktu widzenia.

Zmiana jednak w istocie nastąpiła i jest nawiązaniem do mitu o „szlachetnym dzikusie". Stajemy się coraz bar-

dziej otwarci: poprzez uczenie się innych kultur (tych, które z europejskich pogromów jakoś ocalały) usiłujemy nadać naszej cywilizacji nowe impulsy. Wszystkie te modne dziś programy budowy „wielokulturowych wspólnot" są z jednej strony wyrazem dążenia do zdynamizowania naszej własnej wyobraźni, z drugiej — i to też istotny element owego otwarcia — są objawem strategii defensywnej. Coraz jaśniej zdajemy sobie sprawę z faktu, że historia nie powiedziała ostatniego słowa, że trwa, zaś to trwanie Europejczykom nie sprzyja. Czas pracuje przeciw nam — wraz z tworzącymi się nowymi potęgami, w tej chwili wciąż jeszcze potencjalnymi, lecz przecież pozostającymi w rozwoju, wraz z budzącymi się do politycznego i ekonomicznego bytu kontynentami, los Europy jawi się w barwach dalekich od optymistycznych. I choć brzmi to dzisiaj jak bajka, wydaje się, że rację ma Jacek Bocheński, gdy w szkicu *Niepodległość wśród ludzkości*, publikowanym swego czasu na łamach „Zapisu", zastanawia się nad tym, czy centra świata nie przenoszą się w niezauważalny sposób z Paryża, Londynu czy Nowego Jorku na tereny dziś jeszcze ukryte w gąszczu południowoamerykańskiej dżungli lub afrykańskiego buszu.

Jest oczywistością, że te nowe struktury, w tej chwili ledwie dostrzegalne, o bycie dyskretnym i wciąż jeszcze tylko potencjalnym, są strukturami wyrastającymi także — choć nie wszędzie i nie zawsze — ze struktur europejskich. Lecz — choć wiele od Europy przejęły, często wskutek długotrwałej kolonizacji — europejskie już nie są. A może się wydarzyć, bardzo to prawdopodobne, że będą — jeśli już nie mają takiego charakteru — antyeuropejskie.

Nie jest wykluczone, że dziś, gdy do niedawna tak żywy konflikt Wschód-Zachód staje się sprawą przeszłości, zaczniemy żywiej odczuwać konflikt dotąd przezeń zdominowany i przyciemniony — konflikt na osi Północ-Południe.

Jego pierwsze niebezpieczne sygnały już przeżyliśmy: wstrząs spowodowany kryzysem naftowym lat siedemdziesiątych czy napięcie wywołane wojną w Zatoce Perskiej. Nie wiemy w końcu, jak rozwinie się potęga islamu, religijnej cywilizacji nastawionej na ekspansję. Nie wiemy, jak szybko następować będzie infiltrowanie naszego spokojnego pozornie i stabilnego świata przez ludy Południa: Ameryki Południowej i Afryki. Już dziś Amerykanie budują mur wzdłuż granicy z Meksykiem, zaś Europa przemienia się powoli w zamkniętą dla uciekinierów z Azji i Afryki twierdzę. To są fakty, które wciąż jeszcze przez wielu przyjmowane są z wruszeniem ramion, jednak przez polityków o dalekosiężnej perspektywie — a zwłaszcza przez demografów — już dziś w żadnym wypadku nie lekceważone.

Zapewne to nie przypadek, że dziś, po upadku Sowietów, zaczął się wyścig wielu polityków do Chin, kraju samych niewiadomych, stanowiącego zarazem jedno z atomowych mocarstw i — co nie bez znaczenia — gromadzącego w swych granicach czwartą część ludzkości. I warto sobie w tym kontekście uświadomić, że jest to kraj — w odróżnieniu od wszystkich innych krajów świata — legitymujący się parę tysięcy

lat liczącą historią, w której komunizm, choćby jeszcze przez jakiś czas zdołał się utrzymać, stanowi wciąż niewiele znaczący epizod. Skok gospodarczy Tajwanu jest tylko ilustracją możliwości, jakie mogą się pewnego dnia otworzyć przed tym uspiętym kolosem.

4.

Piszę to wszystko w kraju, który zachłystuje się sloganami o „powrocie do Europy" i w którym jednocześnie tak wiele jest dziś pogardy dla innych. To, o czym napisałem wyżej, jest jednym z ważniejszych problemów, z jakimi Europa współczesna się usiłuje uporać. Obok odradzających się nacjonalizmów dających się obserwować czy to we Francji, czy w Niemczech — nie mówiąc już o całym obszarze Europy Środkowej i Wschodniej — pojawia się coraz bardziej dramatyczne pytanie o zdolność odnalezienia się Europy w świecie, jaki na naszych oczach zaczyna się kształtować i w którym Europejczycy będą stanowić coraz mniej liczną mniejszość. Europejskie nacjonalizmy — z czego ich propagatorzy jeszcze sobie sprawy nie zdają — należą już do przeszłości.

Coraz więcej dramatyzmu natomiast nabiera pytanie o możliwość wykształcenia i ocalenia ogólnoeuropejskiej tożsamości w obliczu narastającego naporu z zewnątrz.

Chodząc ulicami europejskich miast bez trudu zauważymy, jak w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zmienił się ich skład ludnościowy. Jak wielu tu dziś mieszka i pracuje ludzi, którzy tu przybyli spoza kontynentu. Gdy jechałem niedawno paryskim metrem, odczułem to samo, co w berlińskiej kolejce podziemnej — wśród pasażerów należałem do mniejszości: przeważali Arabowie, Murzyni, ludzie pochodzący z Azji. Oczywiście — wielu spośród nich to reprezentanci któregoś już tu wyowanego pokolenia. Czują się Europejczykami — lecz na swój sposób tylko: przez „rdzennych" Europejczyków ostrzegani są jako obcy i nie mogą tego nie odczuwać. Wielu z nich natomiast tworzy tu, na Starym Kontynencie, nieznane dotąd mniejszości kulturowe i religijne, stanowiące potencjalne zarzewie konfliktów.

To być może dziś dla nas nie jest najważniejsze. To są problemy, które jeszcze przez lata nie będą nas dotyczyły — tak się przynajmniej większości z nas wydaje. Lecz warto może już dziś z całą mocą podkreślić, że do takiej właśnie Europy w tej chwili wchodzić. I choć czujemy się wobec niej nędzarami, to przecież — patrząc z punktu widzenia mieszkańców Afryki — należymy do ludów bogatej Północy, do której chcą się przez wszelkie istniejące obecnie bariery przedostać. I przedostawać się będą najróżniejszymi sposobami podobnie jak my kiedyś przemysłowo wynajdowaliśmy metody dla osadzenia się na Zachodzie.

Czy jesteśmy na taki obrót rzeczy przygotowani? Przez dziesięciolecia żyliśmy w izolacji od normalnego świata, nie zdając sobie sprawy z jego problemów i przemieniającej się systematycznie struktury. Utożsamiamy się z Europą. Ale czy naprawdę wiemy z czym się utożsamiamy? Gdy obserwuję Polaków na Zachodzie z ich demonstracyjnym rasizmem i śmiesznym konserwatyzmem, obawiam się, że tym wyzwaniom, które nas obecnie czekają, trudno będzie nam sprostać. Jedną z lekcji, którą mamy do odrobienia jest niełatwa lekcja tolerancji.

# Burza po Burzy

Małgorzata Ruda

**T**eatr Słowackiego zaprasza na wznowienie Szekspirowskiej *Burzy*. Premierowy spektakl w październiku 1990 r. był świadectwem pragnienia zespołu, aby istnieć, to znaczy grać. Jerzy Goliński inscenizował wówczas *Burzę* na scenie teatru mimo, czy może na przekór remontowi trwającemu w budynku. Zza żelaznej kurtyny dolatywały odgłosy pracy robotników. Scenawyspa, która przygarnęła i aktorów, i widzów mogła się stać dla nich miejscem ocalenia. Goliński reżyserował *Burzę* jako dramat przebaczenia, ściślej jako dramat dojrzewania do przebaczenia, sztukę-zwierciadło i dla teatru, i dla publiczności. W lustrze zobaczyliśmy jednak tylko wewnętrzną historię zespołu, historię deklamowanej i deklarowanej przemiany, która nie stawała się niestety duchową prawdą, co zresztą wykorzystano, budując napięcia pomiędzy aktorami tej teatralnej psychodramy.

Akt przebaczenia był ważny jedynie dla Prospera, więc tylko on o przebaczenie prosił widzów, nie tylko dlatego że tak każe Szekspirowski tekst, ale z rzeczywistej potrzeby... Misterium nie dokonane na scenie, nie może się udać w życiu. Niekonieczny, nie spełniony spektakl trzeba powtórzyć. Ariel

w pierwszej *Burzy* niechętnie schodził ze sceny, świadomy, że nie zasłużył na wolność. W pamięci pozostawali usurpatorzy gotowi odczo podjąć kolejne śledztwo przeciw temu, kto przebacza. Aluzja polityczna raz mniej, raz bardziej dyskretnie wspomagała psychogry. Teatralny plebs (Stefano, Trinkulo), zachwycony nieograniczoną swobodą, zatracał się w teatralnej orgii gagów. Prospero-reżyser (J. Goliński) przebaczał, bo czyż te estetyczne wybryki nie rodziły się z pragnienia oddania sprawiedliwości chamstwu świata i bzdurze, zgrzywie ... teatru. To tylko prawo odwetu, które rządzi i życiem, i teatrem. Para konwencjonalnych kochanków, Ferdynand i Miranda błakali się po tym świecie zbudni i rozkosznie nieświadomi zbrodni przeciwko ludowi świata. Zylli frazesem, udawali niewinność i temperament.

Ta pierwsza *Burza* uświadamiała niemożność osiągnięcia łaski przebaczenia i ocalenia w sztuce, a może nawet w polityce, jeśli widz miał się i ochotę snuć analogie. W zasadzie jednak ograniczała się do wskazywania teatru jako miejsca zbyt tandetnych zbrodni i iluminacji. Mimo to miała w sobie przewrotną energię i siłę wyrazu. Jej kłamstwa, wróżnienia, maski jakoś dotyczyły nie tylko zespołu, ale i widzów. Dziś wydaje mi się, że *Burza* Golińskiego tę energię straciła. Nie jest dramatem o teatrze i nie jest dramatem o polityce. Na czarno okotowanej scenie statek-zabawka z dykty lub rozkoszne skałki układają się w estetyczne bielutkie wzorki. „Kamienie”-stożki wystają jak tajemnicze fragmenty kostiumów z fałd kotar. Spuszczone ze sznurowni przez chwilę

stają się straszno-komicznymi kłami. Między sceną a widownią, w kanale orkiestry gabinet Prospera-dyrektora. Reżyser-mag śni tam swój teatr cieni. Gwiazda Teatru Miranda w pięknej czarnej sukni po chwili wahania, wbrew sobie „wejździe w rolę” Mirandy. Dyrektor zgubił gdzie wygnać szynel. Nie pasowałby do stylowych mebelków gabinetu. *Burza* po remoncie? Dyrektor Prospero ma w ręku batutę. Spokojnie patrzy na szaleństwa swego zespołu. Pozwala mu zagrywać się na śmierć i nie grać niczego. Ariel nie nosi już kostiumu brygadiera sceny. Jest duchem teatralnej histerii roztrzęsionym, rozbieganym. W cielisto-plastikowych szatach przyzobionych chustą czerwoną z frędzlami z łóż i kurtyny teatru, z twarzą w poźlotce i kurzu nie śni już nawet o wolności, lojalności. Wykonuje rozkazy. Wykonuje polecenia. Spełnia kaprysy.

**P**rospéro Golińskiego wie, co stanie się na wyspie. Wie też, co zagrają aktorzy i gdzie się potkną. Czasem z łóż dyrektorskiej spójrzy dyrektorskim okiem na scenę, ale te dramaty go nudzą. Słusznie martwo wykrzyczane imitują emocje. Aktorów nie obchodzi ani sens, ani konflikt, tylko „temperatura” owego konfliktu. Aktorzy Prospera imitują. Jedni z podejrzana nadekspresją rodzem z przedmieścia lub złego kabaretu (Trinkulo, Stefano), drudzy — demonstrując chyba podświadomie niechęć do tego stylu, z wściekłą flegmą i nie udawaną obojętnością (dwór usurpatora). Nowa *Burza* jest spektaklem bez wyrazistego tematu — motyw teatru w teatrze służy już tylko inscenizacyjnej zabawie, a żadną sanację zespołu tu nie chodzi.

Napięcie i podskórna histeria Ariela to wszystko, co pozostało z psychogry. Scenę co prawda jak w pierwszej wersji spektaklu zajmują Trinkulo i Stefano, ale ich łazi nie mają przeciwu w dramacie zdrady, którą knuje świat Alonza. Dwór — gabinet cieni jest tak strupieszwały, że nawet nie walczy o władzę. Trud nie oplaca się? Mechanizm Historii, którym porusza Kaliban, głupi osilek, przeraża nie swą zbrodnictwem, lecz chamstwem, prymitywizmem. Miałby się wyrazić, gdyby aktorzy nie upierali się przy tautologii i zbrodni chamstwa nie konkretyzowali, z lubością delektując się prymitywnymi gagami, wychytami, gdyby nie umierali na naszych oczach starając się za każdą cenę wywołać nasz rechot lub chichot. W dodatku dobrze, plastycznie zarysowana postać Kalibana (K. Jędrzejek) jest eliminowana (słyszmy tylko ułomki kwestii) przez rozgorączkowanych grą partnerów, wrzaskiem pijackim zagłuszających skutecznie wszystkie jego kwestie. Wśród tego jazgotu, błota intryg niespodziewanie pojawiają się żywi i prawdziwi Szekspirowscy kochankowie. Ich miłosna historia stwarza od nowa świat teatru-wyspy, ocala go i nadaje sens przedstawieniu. Ferdynand W. Skibińskiego ma w sobie niezwykłą dojrzałość, powagę i wytrwałość młodości. Rozbawiony zaskoczony sobą wobec Mirandy zgadza się na czułą grę w niewinność. I porażony pierwszą miłością dziewczyny odnajduje w sercu ciepło, serdeczność. Mirandzie dała Bożena Adamek jasność i radość, śmieszoną naiwnością pierwszych odkryć, niecierpliwość i niewiarygodną młodość, która rodzi się z delikatności i ciekawości życia, pragnienia nasycenia. Szkoda, że odkryć aktorskich więcej w tej *Burzy* nie było. Mogły ją przeobrazić.

W. Szekspir: „Burza”. Przekład i reżyseria J. Goliński, scenografia P. Dobrzycki. Muzyka M. Wilczyński. Wznowienie w Teatrze J. Słowackiego (4 stycznia 1992 r.)

# Miłość w czasach cholery

(CD. ZE STR. 4)

kobietę i dziewczynkę siedzące na krzesłach tuż obok siebie, obie zajęte czytaniem z tej samej książki, spoczywającej na kolanach opiekunki. Odniósł dziwne wrażenie, że córka uczy czytać matkę. I pomylił się tylko częściowo, bo kobieta, choć była ciotką, a nie matką dziewczynki, to wychowywała ją jak własne dziecko. Lekcja nie została przerwana, lecz dziewczynka podniosła na chwilę wzrok, żeby zobaczyć, kto przechodzi i to przypadkowe spojrzenie stało się początkiem miłosnej katastrofy, która pół wieku potem wciąż jeszcze trwała.

## II

I ch narzeczeństwo było krótkie, ale nietypowe jak na owe czasy, gdyż doktor Urbino mógł odwiedzać ją swobodnie w domu każdego popołudnia. Ona nie pozwoliłaby mu dotknąć nawet koniuszka palca bez biskupiego błogosławieństwa, ale też i on nie podejmował żadnych prób. Pierwszej nocy, gdy morze było spokojne, a oni leżeli już w łóżku, tyle że jeszcze ubrani, spróbował pierwszych pieszczot i zrobił to tak ostrożnie, że zgodziła się przebrać w nocną koszulę, nie widząc w tej propozycji nic dziwnego. Zanim wyszła do łazienki, zgasiła w kajucie wszystkie światła, a wracając w koszuli, zatkała ręcznikiem szpary w drzwiach tak, by dojść do łóżka w absolutnej ciemności. Gdy to robiła, zażartowała:

— Cóż chcesz, doktorze. Pierwszy raz w życiu będę spała z nieznajomym.

Doktor Juvenal Urbino poczuł jak wślizguje się obok niego niby splonzone zwierzątko, usiłując pozostać jak najdalej w koi, w której dwóm osobom trudno było się nie dotknąć. Wziął jej rękę, zimną i drżącą z przerażenia, splótł jej palce ze swoimi i prawie szepem zaczął wspominać swo-

je poprzednie morskie podróże. Ona znów była spięta, gdyż wchodząc z powrotem do łóżka, zauważyła, że on w międzyczasie rozebrał się całkowicie, co napełniło ją lekkim przed następnym krokiem. Ale następny krok opóźnił się o wiele godzin, ponieważ doktor Urbino ciągnął swą opowieść bardzo powoli, milimetr po milimetrze zdobywając zaufanie jej ciała. Opowiadał o Paryżu, o miłości w Paryżu, o paryskich zakochanych całujących się na ulicy, w omnibusie, na ukwieconych kawiarnianych tarasach, spragnionych gorących oddechów i tęsknych w lecie akordeonów, kochających się na stojąco na nadbrzeżach Sekwany, bez obaw, że ktoś im przeszkodzi. Mówiąc, w ciemności wodził opuszkami palców po wygięciu jej szyi, muskał jedwabisty meszek na jej ramionach i dotykał uchylającego się brzucha, a kiedy poczuł, że jest już mniej spięta, spróbował podnieść jej koszulę, w czym przeszkodziła mu w tak charakterystycznym dla siebie odruchu. Powiedziała: „Umiem zrobić to sama”. Rzeczywiście, rozbrała się, lecz zaraz potem znieruchomiała tak, że doktor Urbino mógł pomyśleć, iż znikła zupełnie, gdyby nie jasna plama jej ciała w mroku kajuty (...).

**W**tedy poczuł, że szczęśliwie dotarli do przylądka dobrej nadziei i znów ujął jej rękę, dużą i miękką, i pokrył ją drobnymi pocałunkami, najpierw wyboisty grzbiet, długie, jasnovidzące palce, przejryste paznokcie, a potem zawitości jej losu w wilgotnym wnętrzu jej dłoni. Tymczasem ona, nie wiedząc jak, dotarła ręką do jego piersi i natknęła się tam na coś, czego nie mogła rozpoznać. Powiedziała jej: „To szkaplerz”. Poglądziła go po włosach na piersi, a potem schwyliła ich gęstwę wszystkimi pięcioma palcami, żeby wyrwać ją naraz z korzeniami. „Mocniej” — powiedział. Ciągnęła dopóki wiedziała, że nie sprawia mu bólu, po czym sama poszukała jego ręki niewidocznej w ciemności. Ale on nie pozwolił jej spleść palców z jego palcami, tylko ścisnął ją w przegubie i pociągnął jej rękę wzdłuż swego ciała z niewidoczną, lecz

wyraźnie skierowaną siłą, aż poczuła gorący oddech nagiego zwierzęcia, pozabawionego wprawdzie kształtu, ale pożądlwego i wyprężonego. Wbrew jego przypuszczeniom a nawet swoim własnym, nie cofnęła ręki ani też nie zostawiła jej bezwładnej w miejscu, w którym ją położył, ale poleciała dalsze i ciało Najświętszej Dziewicy, zacisnęła zęby, żeby nie rozeźmiać się z własnego szaleństwa i zaczęła badać narowistego przeciwnika sprawdzając jego wielkość, siłę trzonu, rozpiętość skrzydeł, przestraszona jego wolą, ale też współczująca jego samotności, zdobywała go dla siebie ze skrupulatną ciekawością, którą ktoś mniej doświadczony od jej męża, mógłby pomylić z pieszczotami. Natomiast on przywołał na pomoc całą swą wytrzymałość, by znieść męki morderczego przeglądu, aż w końcu odrzuciła go z dziecinny wzdziękiem, jak śmieć.

— Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak działa to urządzenie — powiedziała.

Wtedy wyjaśnił jej to swym poważnym, profesorskim tonem, przesuwając jej rękę po miejscach, które wymieniła a ona pozwałała ją wieść postużną jak przykładna uczennica (...).

— To już koniec lekcji medycyny — powiedziała.

— Tak — odrzekł. — Teraz kolej na lekcję miłości.

**P**o czym ścignął z niej prześcieradło, czemu nie tylko że się nie sprzeciwiła, ale sama odrzuciła je poza koję energicznym kopnięciem, nie mogąc dłużej znieść gorąca. Jej ciało było falujące i giętkie, o wiele poważniejsze, niż się wydawało, kiedy była ubrana, miała zapach górskiego zwierzęcia, który wyróżniał ją spośród wszystkich kobiet świata. Bezbronna w pełnym świetle, nie wiedziała, jak

ukryć falę wrzącej krwi, która uderzyła jej na twarz, i jedyne co przyszło jej do głowy, to uchwycić się szyi swojego mężczyzny i całować go głęboko, bardzo mocno, aż wyczerpali w tym pocałunku cały oddech.

Wiedział, że jej nie kocha. Ożenił się z nią, gdyż spodobała mu się jej wyniosłość, powaga, siła a także trochę z powodu własnej próżności, lecz kiedy całowała go pierwszy raz, użył pewności, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wymyślić całkiem dobrą miłość. Nie rozmawiali o tym ani pierwszej nocy, która upłynęła im na rozmowach o wszystkim, ani nigdy później. Ale czas pokazał, że żadne z nich się nie pomyliło.

Gdy zasnęli o świcie, ona wciąż jeszcze była dziewczynką, chociaż nie miała nią pozostać na długo. Następnego nocy, po tym jak uczył ją wiedeńskich walców pod ugwieżdżonym karaibskim niebem, poszedł do łazienki po niej, kiedy wrócił do kajuty, czekała już na niego naga w koi. Tym razem ona przejęła inicjatywę i oddała mu się bez lęku, bez bólu, z radością przegody na pełnym morzu, pozostawiając jako jedyny ślad po krwawej ceremonii honorową różę na prześcieradle. Oboje zrobili to dobrze, niemalże cudem i robili potem co noc i co dzień, za każdym razem lepiej aż do końca podróży, tak że gdy statek dopłynął do La Rochelle rozumieli się już jak starzy kochankowie.

Gabriel  
Garcia Marquez

Przełożyła  
URSZULA KROPIWIEC

# Nowe czasy

Krzysztof Lisowski

Kiedy przed paroma laty mój przyjaciel, krakowski poeta Jerzy G., opuścił Polskę i zamieszkał w Alabamie, w jednym z pierwszych listów sugerował, że — w związku z narastającym kryzysem — zmieścić pewnie będę musiał dotychczasowy styl życia, sposób myślenia, podjąć się może jakichś lanych prac, żeby „utrzymać się na powierzchni”.

Trochę irytowało mnie wtedy, że oto niezawony birbant i lekkoduch prawi mi morały, podglądając gdzieś tam kolibry w porze lunchu. Tymczasem okazało się, że miał rację. Nie tylko ja, cała generacja, środowisko, znajomi z pracy — jedni szybciej, drudzy z większymi oporami — zaczęli walczyć o przetrwanie. Pragnę tu wyjaśnić, że chodzi oczywiście o warstwę społeczną zwaną przed wojną ubogą inteligencją (patrz przepisy kulinarne w tygodniku „Bluszcz”).

Zaczęliśmy pracować ze zdwojoną energią, podejmować się nowych zadań, uczyć się „o marzu”, reagować nie tylko na spory intelektualne, ale i na ruchy cen. Sądząc ze stanu gospodarki, a i kondycji kultury, będzie to nie kończąca się, frapująca podróż, opowieść z wieloma puentami.

Pod koniec ubiegłego roku w moim zakładzie pracy (intelektualnej?), kiedy nastroje fatalistyczne sięgnęły prawie zenitu, postanowiliśmy z grupką przyjaciół zapisać się na kurs komputerowy. Tak rozpoczął się etap nowej podmiotowości w naszym życiu: uczy-

my się czegoś nowego za własne pieniądze. Kurs ukończyliśmy chwalebnie, po czym niektórzy z nas, inwestując ostatnie oszczędności i zapożyczając się, kupili komputery osobiste, zawierając intuicji, która okazała się trafna (od nowego sezonu cło na sprzęt elektroniczny wzrosło o 15%).

I nawet nie obejrzelśmy się, a tu nastąpił koniec stycznia. Wszystko nowe: ceny, grypy, poziom życia, wizyty duszpasterskie.

Z pewnym niepokojem oczekiwaliśmy tegorocznej wizyty księdza, pamiętając dawniejsze tego rodzaju spotkania — dokonywanie przez pasterza dusz aktualizacji kartotek personalnych, dość obcesowe pytania o święte obrazy itp. Tymczasem i tu jakaś odmiana! Nawiedził nas młody duchowny, po krótkiej modlitwie rozjeździł się po pokoju, spojrzął na komputer i spytał o posiadane programy. Pogadaliśmy jak fachowiec z fachowcem o wyższości ChiWritera nad MiniTaGiem. Nazajutrz przyszedł znów, zmęczony nieco uczestnictwem w dwóch pogrzebach, ale zaraz odzyskał werwę likwidując w naszych plikach złośliwe wirusy, skopiował od nas jakiś krój czcionek, my coś od niego. Przestrzegal szczególnie przed wirusem bułgarskim (zwanym Yankee Doodle!), przed Kropkojadem i ich nosicielami. Pobłogosławił nas raz jeszcze i rozeszliśmy się, każde do swych obowiązków, oczyszczeni, uzbrojeni w odrobinę nadziei przeciwko mrocznej przyszłości.

## Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

Kilka dni temu do redakcji „Dekady Literackiej” przyszedł list. Niezwykle. Pachniał lekko siarką, a na lakowej pieczęci (któż dzisiaj listy lakuje?) wyraźnie widoczny był odcisk jakby zwierzęcej łapy. Z drżeniem i odrobiną lęku otwarliśmy list i ... diabeł okazał się nie taki straszny, jak go malują. Koperta zawierała bowiem tylko dwie kartki — co prawda lekko osmalone — na których po prostu napisano wiersze. Podpisane „T.Mic”.

Zważywszy okoliczności otrzymania przesyłki, nie usiłujemy nawet dociec, kto jest jej nadawcą. Warto jednak zastanowić się, kto jest autorem wierszy.

Podpis sugeruje, że może nim być Tadeusz Miciński. Wiadomo, że poeta nosił się z zamiarem napisania cyklu, którego chciał dać tytuł „Czeluście gwiazdne”. Naukowcy uważają, że pomysł ten nie został zrealizowany. Być może nadesłane utwory wchodziły do tego cyklu — zatem jeśli nawet nie został on napisany, to przynajmniej rozpoczęty. Ale możliwe też, iż są to wiersze luźne, nie tworzące żadnej całości. I w ogóle nie ma pewności, czy istotnie wyszły spod pióra Micińskiego.

Sądzimy wszakże, że ich opublikowanie było naszym obowiązkiem. Zaś wyjaśnienie zagadek należy zostawić uczonym, którzy z pewnością tym się zajmą.

Wśród czarnych kolumn otchłan śmiercia  
złonie,

wilgna urwiska mogiłnymi mroki  
dyszają i mylą nieostrożne krekli  
i przyzywają w olowiane tonie.

Smętny kometa jarzącym klejnotem  
w kryształ się zwisa z głuchych chmur  
bezdolnych,

Zmarła cisza w mgieł srebrne opony  
sen przyobleka mój — sen — rozłuskuiony.

Gwiazd szron rozpalam na przestworzach  
wonnym,

przywieram lochy mogiłne, a potem —

sichą cię wiodę, rozłączoną,  
w bezchwiejnych lazur pian,  
szal krwawy ci owiewa łono —  
łodowych rubin ścian.

Serce bezdźwięczna harfy struna,  
rozkoszy żadne — lka —  
ból ortoklastem czarnym runął.

Niech pali — i niech trwa.  
Niech pali — i niech trwa.

Samotny jestem, jak trup porzucony  
wśród nieprzeznaczonych pomroków wieczności.  
Nikt mię nie płacze — ni dzwony,  
ni gwiazd obłędnych miliony —  
daremnie przyzywałem śmierć —  
Śmierć u mnie nie zagości.

Przy woli szatanów, czy przy woli Boga,  
na ból skazany bezkresny — niepojęty —  
topię puste źrenice, gdzie opali droga —  
— ja mieszkaniec podziemi wykłęty.

Próżno snu błaga gorejące ciało —  
złudnej pociechy oczarowań sennych.  
Od mięki strasznej uwiedle — szerniatio,  
liłości żebrze — dali bezimiennych.

Letargu pieśń goryczą duszę dławią.  
W mrok — nad czyszcówych jezior chryzolitów  
pełzną — tam czytałem na wirachach wyryły  
wyrok okropny.

— I nie mię nie zbawi.

**DEKADA LITERACKA** — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Witold Turdza, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

ISSN 0867-1094

TEATRZYK  
RYSUNKOWY



## HYDE PARK czytelników

Dziś prezentujemy dwa z nadesłanych wierszy studenta biologii z Rybnika M. KACZMARZYKA. Autor pisze także nowele, opowiadania i eseje do gazet studenckich.

### Nietolerancja

Słyszałem grzmot  
przez sen  
we śnie może  
a chciałbym wiedzieć  
więcej o nim.  
Albo skąd  
wybita w oknie szyba  
i kamienie na podłodze —  
kości miasta?

Obłoki są najbardziej  
niezależne spośród  
mieszkańców nieba.  
Tylko czasami  
przybite melancholią  
obniżają loty na tyle  
że trą o latarnie ślepe  
oczy,  
i płaczą  
bo rzeczywistość  
okazuje się  
twardsza niż błękit.

## VARIA — POLONICA

Londyńska oficyna Armelle Press wydała album poświęcony mało u nas znanemu artyście Adamowi Kossowskiemu (1905—1986) — Adam Kossowski, Murals and Paintings — który większość życia spędził na emigracji w Wielkiej Brytanii. Przed wojną współpracował z oficjalnymi, dekoratorami II Rzeczypospolitej, Kowarskim i Pękalskim (m. in. przy projekcie fresków do komnat wawelskich). Osiedliwszy po przejściach wojennych w Londynie, kontynuował to métier, poświęcając się niemal wyłącznie sztuce religijnej. Zaliczany do czołwki artystów pracujących na zamówienie Kościoła katolickiego w Anglii, reprezentował ten nurt we współczesnej sztuce sakralnej, który najlepiej charakteryzują słowa Jana Verkade: „Zrobić dzieło, przed którym biedni mogliby się modlić, a od którego nie uciekaliby artyści”. Łączył zdobyte formalne sztuki nowoczesnej z silnym przywiązaniem do tradycji (romanizm, renesans, sztuka bizantyjska). Jak napisał jeden ze współautorów książki prof. T. Chrzanowski: Adam Kossowski był arystą szczęśliwym. Chciał — na swój sposób — upowszechnić piękno, na przekór doświadczeniom własnego życia. Oprócz tak charakterystycznych dla artysty reliefów ceramicznych i sgraffitów o tematyce sakralnej, znajdujemy w książce rysunki i akwarele o szczególnie wysokiej wartości dokumentalnej z czasów wojny (zsyłka na Wschód, obóz ciężkiej pracy nad Peczorą, przejście do armii Andersa).

Nakładem zasłużonego dla upowszechniania literatury słowiańskiej wydawnictwa L'Age d'Homme w Lozannie ukazała się rozprawa na temat jednej z najbardziej snobistycznych książek w dziejach literatury, Pamiętnika znalezionego w Saragossie Jana Potockiego (François Rosset, Le Théâtre du romanescque. „Manuscrit trouvé à Saragosse”. Entre construction et maçonnerie). Już sam tytuł zapowiada ujęcie nietypowe. Autor, dysponujący błyskotliwą i erudycyjną metodą, próbuje rozszyfrować konstrukcję tej tajemniczej książki, znanej ciągle tylko we fragmentach. Analizując to pełne niezwykłych przygód i interpretacyjnych pułapek „theatrum narrationis”, tropi ukryty sens powieści. Książka powstała na kanwie dysertacji doktorskiej, obronionej na Uniwersytecie Jagiellońskim pod kierunkiem prof. Jana Błońskiego. François Rosset, utalentowany badacz i krytyk literatury, spędził w Polsce kilka lat, zajmując się również tłumaczeniem literatury polskiej dla L'Age d'Homme Dimitriewicia (m. in. Msza za miasto Arras Andrzeja Szczępińskiego i Weiser Dawidek Pawła Huelera). Od roku 1990 jest sekretarzem Nagrody im. Kościelskich w Genewie.

(AB)